

Wydawnictwo Imienia Dyonizego Wegnera.

VII.

Pan Czuryłło.

Powieść historyczna

z czasów Zygmunta Augusta.

IV
405



Poznań.

Nakładem funduszu ś. p. Dyonizego Wegnera.

Drukiem Fr. Chocieszyńskiego.

1899.

Yoon-215

I. 8)

Przymrozek jesienny roku 1571 posrebrzył dachy, pobielił kamienie na ulicach Krakowa i powoli ustępował promieniom słońca, które jaskrawo wschodząc rozgarniało mgłę, oświetlając wesolo budzącą się ziemię. Dzwony dzwoniły, ruszał się lud, rynek zaludniał; kominy zionęły kłębam dymu, a otwierały się żelazem okute okiennice i drzwi sklepów. Na rynku leżały już nagromadzone wszystkie skarby jesieni! owoce, warzywa, bułki, obwarzanki, słodkie pierniki i serki kminkiem nadziewane. Za różnobarwnie pomalowanymi straganami siedziały wesole, różne panie, mieszczerki i przekupki. Pomiedzy niemi kręciły się w różnych ramnych ubiorach skrzętne panie urzędniczerki, które jako rzędne gospodynie, skupowały co im było na ten dzień do domu potrzeba. Wokoło rozlegały się różne głosy powitania, targowania się mieszczerki, śpiewy dziadów pod kościołem i turkot pojazdów po nierównym bruku.

Wtem z jednój z ulic wstąpił na rynek tłum radośnie krzyżujących żaków... (tak wówczas nazywano uczniów wszystkich szkół niższych i wyższych). Starsi szli przodem, dziatwa biegła za nimi. Wszyscy prawie byli poubierani podług ustawy uniwersyteckiej w ciemne sutanki, ale z rozmaitymi dodatkami lub niedostatkami.

U niektórych wisiały u pasa drewniane kalamarze, innym z pod poły świeciła szabelka, inni znów

) Powieść powyższa opracowana jest podług J. I. Krakowskiego: *Zygmuntowickie czasy*

trzymali w ręku kije z drzewa jodłowego lub dębowego. Na wielu sukniach widać było łąty, świadczące o ubóstwie tych, co je nosili. Ale na wszystkich twarzach tej gromadki jaśniała dziś rzeźwa radość młodzieńcza. Usta się uśmiechały, iskrzyły oczy. Był to bowiem dzień żakom świąteczny, obrzędowy, dzień świętego Gawła, dzień koguciej bitwy i wesołej zabawy.

Przodem niesiono ogromnego koguta o wspianych piórach, z ogonem połyskującym, z dziobem wystrzonym i bystreimi oczyma. Nogi jego związane były wstążkami różnobarwnymi. Za tym królem kogutów następowały różnej maści i wzrostu niesione przez żaków kury. Karmione umyślnie zielem, zwanem „Matki Bożej włoski“, ptaki te były jak w upojeniu jakim i rozdrażnieniem; trzepotały się ku sobie i wyrwały jedne na drugie. Żacy wstrzymywali je ich przedwczesne zapędy do bitwy, wołając:

— Poczekajcie panowie rycerze, zaraz staniemy na miejscu i krew wasza popłynie!

W rynku znajdowała się gospoda „Pod kogutem“, której gospodarz miał od dawna przywilej dostarczania na ten dzień bitwy pokarmu żakom bez opłaty. Za to tłum ciekawych, zbierający się dla oglądania tej dziwacznej bitwy ptasiej, wynagradzał mu te trudy i koszt.

To też i dziś ulica przed gospodą i podwórze pełne były ludu. Żacy wesoło śpiewając, zawrócili się ku gospodarzowi, na której progu stał już oczekujący na nich gospodarz. Podwórze, jako plac bitwy, otoczone było kupami ciekawego pospólstwa. Na posypanym piaskiem dziedzińcu rozstawili się żacy, zostawiając między sobą niewielką przestrzeń wolną dla koguciego boju. Jeden ze starszych naprzód rozwiązał wstęgi złotopiórego koguta i postawił go na ziemi.

— Do boju! do boju! — zawolali żacy — biały przeciw żółtemu!

Jakiś żaczek wysunął się z białym kogutem naprzeciw.

— Kto co wstawi na mojego? — odezwał się starszy.

Były bowiem we zwyczajn zakłady, a wygrywający zwykle właścicielowi koguta oddawał, albo całą, albo znaczną część wygranęj. Między widzami wszczął się szmer, kilka rąk podniosło się w górę, kilka głosów wykrzyknęło:

— My się zakładamy!

Gdy pieniądze złożono do czapki na ten cel przygotowanej, dwa koguty stanęły przeciw sobie. Obadwa były już rozdrażnione, nakarmione ostremi pokarmy, upojone i zjadłe.

Wielki kogut złotopióry, poczuwszy się wolnym, strzepnął skrzydłami i puścił się zniżywszy głowę jak baran, kiedy chce tryknąć przeciwnika. Biały zaś podniósł głowę i zapiał kukuryku!

Wszyscy w śmiech z białego, zwłaszcza, że na głos jego piał zaczęły wszystkie inne koguty. Potem dopiero biały podskoczył, szyję wyciągnął, oczy wytrzeszczył i rzucił się na wiele silniejszego złotopiórego wroga.

Wszczęła się krwawa bojka, w której ku wielkiemu zdziwieniu widzów, biały kogut został zwycięzą. Grający bez zwady wyjęli połowę zakładu z czapki, drugą zostawiając właścicielowi białego zwycięzcy.

Po pierwszym tym pojedynku nastąpił drugi i trzeci, z wzrastającą wrzawą, zwiększającemi się zakładami i huczniejszą wesołością żaków. Między innymi stał na uboczu mały czternastoletni żaczek o bladej, pięknych rysów twarzy, znany pod nazwiskiem Maćka Skowronka. Podparłszy głowę na

reku, przyglądał się w jakimś smutnem zamysleniu wstrętnęj walce biednych ptaków, na rzeź krwawą wydanych.

Wśród powszechnęj wesołości towarzyszków postać jego smętna odznaczała się dziwnie. Z pośród tłumu widzów wychyliła się po kilka razy głowa jakiegoś starego szlachcica w szaraczkowęj kapocie. Zdawał się szukać kogoś niespokojnemi oczyma, potrząsając niechętnie głową. Nareszcie dopatrzył chłopca tego i począł powoli przez tłumy ludu przeciskać się ku niemu. Z nie małą trudnością przecisnął się wreszcie i kładąc rękę na ramieniu chłopca, powitał go po rusku:

— Szczęś tobi skażu.

Maciek obrócił się żywo, a ujrzawszy dobroduszną twarz starca, który mu już przed kilku tygodniami, gdy z dalekięj podróży przyszedł do Krakowa, dał raz przed kościołem jałmużnę, poklonił się i uśmiechnął.

— Chodźno Waś ze mną — rzekł stary Rusin.

Obaj z wielką trudnością przebili się przez tłum ludzi i weszli w zagłębienie pod galeryą pustą, gdyż nie było ztąd widać.

No, a jakże tobie powiodło się w Krakowie?

— zapytał starzec.

— Dzięki Bogu, dotąd bardzo szczęśliwie — odpowiedział chłopiec — zapisałem się na bursie, mam tam przytulisko; żacy bracia przyjęli mnie za swego i chleb powszedni Pan Bóg zśła.

— Toś sobie nie znalazł jakięj służby, żeby na chleb zarabiać — rzekł stary Rusin — byłoby to bezpieczniej mieć zapewnione codzienne utrzymanie

— A któż je tu z nas ma zapewnione? — odpowiedział Maciek. — Wiciecie im nas tu jest, więcęj sług niż służby... więcęj gąb niż chleba, a choć jeden drugiemu pomaga, niejeden idzie spać o głodzie

Nieraz modlitwa zastąpi pokarm. Jednego dnia siadamy śpiewać pod figurą przy murze cmentarnym, drugiego chodzimy od drzwi do drzwi, innego dnia dzielim się z braćmi, czem oni mają do podziału. Czasem się zdarzy wody przynieść, podwórko oczyścić, dziecko popilnować jakiejś mieszczance. to za łyżkę strawy.

— Nad ubogimi Bóg stróżem — mruknął stary Rusin pod nos. — Pamiętajcie tylko, że choć wam głodno i chłodno i nie bardzo dobrze na świecie, zawsze pocziwym być trzeba. Cudze niech wam zawsze będzie cudzem. choćby wam głód dokuczał.

— A toś ty z Rusi? — dodał po chwili wpatrując się mocno w chłopca.

— Z Rusi — rzekł Maciek, spuszezając oczy.

— I sierota?

— Sierota.

— A twoi rodzice?

— Nie mam rodziców.

— No, ale kto oni byli?

— Ja nie wiem — rzekł sierota po cichu.

Stary Rusin tak mu się w oczy wpatrzył, że chłopiec spuścił je ku ziemi.

— A gdzieś się wychował?

— Na Rusi.

— Ale w której okolicy?

— Wybaczcie mi — rzekł chłopiec temi pytaniami widocznie znudzony — wam to rzecz obojętna, a mnie przykro o dawniejszych wspominać czasach.

Stary Rusin pokręcił głową i pytał dalej:

— Znałście matkę?

Chłopcu tży stanęły w oczach, otarł je rękami nie nie odpowiedział.

— Nie nazywano cię dawniej innem imieniem?

— dodał uparty Rusin po cichu.

— Nie pamiętam.

— Hm! hm! dobrze to, że lada komu nie niasz i nie pleciesz bez potrzeby, ale mój kochanku... jam nie po prostu ciekawy; może wiem coś o tobie, o twoich i...

Maciek wlepił oczy jeszcze też pełne w starego i żywo zapytał:

— A! panie... to być nie może, to być nie może.

A więc jeszcze przełknięcia niż radości wiadać było w twarzy chłopca. Rusin tymczasem już milcząc rozwiązywał powoli sakiewkę i dobywszy z niej trochę pieniędzy, tajemnie, obejrzawszy się do koła, oddał je Maćkowi.

— Schowaj to na głodny czas — rzekł — a jak ci będzie bardzo źle, bardzo ciasno, a trzeba ci będzie rady, popytaj o Rusina Czuryłę; wszyscy mnie tu znają, pokażą ci domostwo, w którym mieszkam.

To powiedziawszy chciał odejść, lecz obracając się znowu dodał:

— Słuchajno jeszcze, Nie zaczepiał cię tu kto w Krakowie, nie wypytywał cię i nie obdarzał prócz mnie?...

Maciek zamyślił się na chwilę.

— Na wejściu do miasta — rzekł — jakaś przekupka obdarzyła mnie gomułką sera, potem jakiś żyd, co go Kampsor Hahngold nazywają, dał mi przed kilku dniami srebrny pieniądz.

Strzeż się tego żyda, nie nie mów do niego — rzekł stary Rusin kładąc palec na ustach.

— A cóżbym mu mógł powiedzieć? — zapytał chłopiec.

— Czart nie śpi, ale czuwa — mruknął po rusku starzec i szybko odszedł, bo w téj chwili ujrzał żyda Hahugolda, który zdawał się śledzić ciekawie, z kim stary Rusin rozmawia.

Maciek nie ruszał się z miejsca, czekając na towarzyszy.

Tymczasem bitwy kogucie zbliżały się do końca. Skrzydlaci zapastnicy pokaleczeni leżeli na ziemi, jedni leżeli martwi, inni rzucali się jeszcze wśród bolesnego konania.

Czapka, w której składano zakłady, pełna była drobnój monety rozmaitego rodzaju. Pozostały jedyny tryumfator, ubrany we wstążki wzniesiony do góry z okrzykami i pieśniami, ukazał się tłumowi ludu, który go powitał oklaskami.

— A teraz do gospody! — zawołali żacy zgarniając zebrane pieniądze.

— Do gospody!

II.

W tłumie, który w tój chwili z podwórza kamienicy na ulicę odpływać zaczął, Maciek otoczony przez kolegów, niesiony tą falą posunął się ku bramie. Ale tu uczuł się pochwycony za rękę i głos, który słysząc zadrżał, szepnął mu w ucho:

— Poczekaj!

Maciek obrócił się zdziwiony i ujrzał kobietę, która go za opończę wzięwszy, w tył pociągała, oglądając się bacznie, czy na nią kto nie patrzy. Kobieta to była już nie młoda, wysokiego wzrostu, ogorzałej twarzy, czarnych włosów i oczu, chuda ale silnie zbudowana. Ubiór jej ubogi świadczył, że się puściła na chleb żebraczy. Przy jej rzemiennym pasku wisiał różaniec z krzyżykami i medalem. W ręku trzymała kij sękaty, przez ramię przewieszoną miała płócienną torbę, a w niej kawał suchego chleba, z drugiej strony pasa wisiał garnuszek.

Na twarzy niegdyś pięknej, a teraz wyrazu pełnej, czytać było można wzgardliwą dumę, bolesne zniechęcenie, smutek i niepokój.

Kiedy po cichu, chwytając Macia za rękę, wymówiła: Poczekaj! zdalo się, że lkaniem dokończyła

Sierota też zatrzymał się jak osłnpiaty i wlepiwszy w nią zdziwione oczy zawołał:

— Ty tu... ty tu!...

Ona nie na to nie odpowiadając, poruszona, niespokojna, spoglądała na rozchodzący się tłum ludu, jakby czekając, dopóki nie pozostanie samą z chłopcem sierotą.

W tem żyd Hahngold zszedłszy z galeryi, na której się przypatrywał bitwie kogaciej, zdawał się zmierzać do Maćka i spostrzegłszy stojącą obok kobietę, ciekawie jęj się przypatrywać zaczął. Ona usunęła się na bok, a żyd postąpił ku Maćkowi mruczając coś pod nosem.

— A nu, jakże się wam tu powodzi? — zapytał powoli chłopca.

— Jak wszystkim, nie szczególniejszego mnie nie spotkało, wpisałem się, uczyć się i żebrze.

Na to ostatnie słowo, żyd szydersko się uśmiechnął i rzucił niedocieczonego wyrazu spojrzenie na żaka...

A czemu nie zajrzeliście do mnie? — zapytał.

Po cóż ja do was? — zapytał nawzajem Maciek.

— Choćby za jałmużną — rzekł żyd gładząc brodę. Choć waszój wiary nie jestem, n mnie ubogi i bogim, sierota sierotą.

Wymawiając ten wyraz „sierota“, spojrzał z szczególnem szyderstwem na chłopca.

— Dziękuję wam za dobre chęci — rzekł Maciek — ale ja jeszcze nie znam i miasta i mieszkań.

— Każdy z waszych kolegów wskaże wam do mnie drogę — odpowiedział Hahngold. — Chciałbym pogadać z wami, dobrze wam życze.

Wtem żyd spostrzegłszy, że pan Czmyrło wpatruje się w niego z dala i śledzi rozmowę, ustąpił na bok z niechęcią.

Przez cały czas téj rozmowy, kobieta stojąca ubocznie niecierpliwie szarpała różancem u jęj pasa i zaciągając, a ujrzawszy, że żyd odchodzi, zbliżyła się znów do chłopca.

On także szukał jęj oczyma.

Porozumniawszy się z sobą spojrzeniem, wyszli spiesznie na ulicę, a żebraczka schwyciwszy za rękę sierotę, pociągnęła go za sobą w jedną z tych wązkich, ciemnych uliczek, w które obfitowały dawne, bez planu stawiane miasta.

Tutaj było zupełnie pusto i cicho; tylko wrzawa z rynku dochodziła niekiedy. Kobieta obejrzawszy się na wszystkie strony poczęła chłopca ścisnąć i całować z macierzyńską czułością. On stał wzruszony i widocznie bardzo zaniepokojony.

— Jakim sposobem wy tu, Agato? jakim sposobem wy w Krakowie? — zapytał po pierwszym powitanii.

— O moją chłopcze kochany — zawołała ręce załamując żebraczka — Bóg mnie za tobie przywiódł aż tutaj, dzięki Mu, że mi dodał siły na tę podróż długą i uciążliwą i że teraz nad tobą czuwać będę mogła! O ty nie wiesz, com ja należała się o ciebie!

— Anioł stróż mnie prowadził... widziecie że doszedłem i wiedzie mi się lepiej, niż się spodziewać mogłem. Ale wy Agato, w tym wieku porzuciliście dom, krewnych, dach spokojny...

— Musiałam moje dziecko!... tyle się o ciebie należałam.

— Czego się o mnie lękać było?

— Daj Boże, abyś nigdy nie dowiedział się o tem -- westchnęła kobieta i usiadła znużona na kamiennych wschodach najbliższej kamienicy, podparszy się na rękę.

Po chwili zawołała przyciągając chłopca do siebie:

— Jam cię piersią moją wykarmiła... jam się do ciebie przywiązała jak matka, a ty się pytasz, czemu biegłam w ślad za tobą, aż tu dotąd? Biedne dziecko! ty jeszcze nie pojmujesz ani siebie, ani swojej doli. I lepiej ci z tem.

— Moja Agato, powiedzcież mi wreszcie tę wielką tajemnicę, którą mi tak dawno wyjawić obiecujecie — rzekł mały żak poważnie. — Niechże się wreszcie dowiem kim jestem, co mi grozi.. nie jestem już przecie dzieckiem, zrozumienię cię, a tajemnicę zatrzymać będę umiał.

Kobieta nie mogła nie odpowiedzieć na to, bo w tej chwili w cichej uliczce dał się słyszeć stłumiony gwar, szelest kroków i pospieszny chód wielu osób. Nagle z ciasnej uliczki pomiędzy dwoma kamienicami, ukazało się kilku żebraków zmierzając ku uchodzącej Agacie.

Na przodzie szedł ogromny, barczysty chłop, z obnażoną, obrośłą czarnym włosiem piersią, z rozczochraną głową, z kijem w jednej ręce i długim biczem w drugiej. Kawał sukna granatowego, związany pod szyję spadał mu na plecy, zdarte buty powiązane łykiem okrywały nieco stopy. Na szyi, pokrytej długimi włosami i brodą kędzierzawą, był zawieszony cynowy medal z Matką Bożką. Twarz sroga, pomarszczona, ogorzała od słońca i wiatru, miała w wyrazie coś zbójckiego. Torby przez ramiona pozawieszane i krzyż z różańcem u pasa, oznajmywały dziada z pod kościoła. Za nim szedł mały, garbaty żebrak i baba w granatowej opończy z garnuszkciem u pasa i wołała wskazując palcem na Agatę:

— To ona! To ona!

— Stój! stój! — zaryczał straszliwy żebrak machając biczem.

— Czekaaj włóczęgo! — powtórzył piskliwym głosem garbus.

Oha poskoczyli ku Agacie, która z początku chciała nieec, potem namyśliwszy się poszła naprzód ku nim.

Maciek zatrzymał się i szedł za nią.

— Idź sobie! idź sobie -- odpychając go zawołała Agata.

— Ale jni...

Nie bój się o mnie, idź sobie!

Odepchnięty żak stanął na uboczu. Tymczasem dwaj żebracy pochwycili Agatę i smagając ją biczem pytali:

— Co ty za jedna?

— Widzicie przecież, com za jedna — śmiało odpowiedziała Agata — gdybym nie była tem czem jestem, nie żebrałabym po ulicach...

— A kto ci pozwolił żebrać po naszym nieście?

— Jak to? a od kogoż ubogi ma brać pozwolenie żebrania?

— Patrzajcie! udaje niewiniątko — rzekł garbus nie zaponniała języka w gębie...

— Alboż to nie wiesz, że w stolicy i każdym nieście nie wolno ręki wyciągać, dopóki się do Urzędu nie zgłosi?... Czy sądzisz, że wolno chleb nam z przed nosa wydzierać, nie opowiadawszy się nikomu?...

— Patrzcie ją! — zakrzykezeli wszyscy.

Do gospody! do bractwa! — dodali drudzy. Osadzić, obedrzeć i wysmagawszy ją, won za miasto!...

Kto całe życie żebrał — odpowiedziała śmiało Agata — to wie, jakie tam ustawy macie, ale mnie rzecz nowa.

— Oho! gotowa udawać, iż dawniej w złocie chodziła! — zawołał szydereco garbus.

— No, no, pani królowo do gospody! do gospody! — krzyczeli chórem żebracy. — Niechaj bractwo osądzi! Dość nas tu jest i bez ciebie, a co dzień więcej żebraków z całego świata napływa. Ale chwała Bogu, jest na to prawo i biczysko. No dalej, ruszaj do gospody!

Ogromny dziad, którego zwano Lagusem, zamachnął biczem na Agatę, a inni otoczyli ją i powiedli z sobą łząc ją i wykrzykując.

Tak przeszli przez rynek, minęli kościół Panny Maryi, aż wreszcie zatrzymali się przed brudnem jednopiętrowem domostwem, w małej i ciasnej uliczce. Na froncie tego domu wisiał zabrudzony obraz przedstawiający Łazarza leżącego na gnoju, a pod nim wisiał krzyż z czarnego drzewa. Okuta skarbona, w mur wpuszczona, miała nad sobą napis teraz zupełnie zatarty.

Wewnątrz sień ciemna dzieliła tę gospodę na dwoje. Na lewo izba duża i dość porządna służyła za miejsce schadzki tak zwanemu Bractwu Miłosierdzia, to jest zgromadzeniu żebraków spisanych na liście Urzędu. Na prawo były mieszkania dziadów i bab z pod kościoła Panny Maryi. Lagus smagając biczem Agatę, otoczoną tłumem żebraków, wprowadził do wielkiej izby na lewo.

Kobieta zaczerwieniona od gniewu, szła żwawo, po cichu rzucając przekleństwa.

— Czego chcecie odemnie? — zawołała gdy ją wprowadzono do izby. — Jeżeli wam wolno żebrac w Krakowie, toć i mnie wolno.

— Otóż, to nie! — zakrzyczał wyłaząc z kąta siwy starzec, siedzący tam nad książką, ubrany w granatowy gierniak, pas skórzany i z krzyżem zawieszonym na czarnym sznurku na szyi.

— Niech pan pisarz osądzi, co z tą nędznicą zrobić mamy? — zawołał Lagus smagając Agatę biczem

Ona krzyknęła i rzuciła się ku temu, którego pisarzem zwano, jakby pomocy jego wzywając.

— Precz bieżownicy!... precz! — rzekł pisarz — sam ją wybadam...

Dziadostwo rozstąpiło się i usiadło na ławach stojących pod ścianą: Lagns tylko i garbus stanęli z biczami z obu stron obwinionój, jakby gotowi do smagania.

— Dla czegoż — zapytał poważnie pisarz, przybywszy do Krakowa nie stawiałaś się do urzędu?

— Do jakiego urzędu? — zapytała kobieta.

— Do naszego. Powinnaś wiedzieć, że nietylko w Krakowie, ale we Lwowie, we Wilnie i we wszystkich naszych miastach są Bractwa żebrzących, w których księgi wpisać się trzeba, chcąc mieć prawo do wyciągania ręki pod kościołem.

— O tem nie wiedziałam — odpowiedziała kobieta — Żebrzę po raz pierwszy i przychodzę tu aż z Rusi, gdzie nie pytają ubogich, zkad są i jacy, aby im dać jałmużnę, bo pan nasz Jezus Chrystus nie przykazał śledzić ubogich i pytać, ale ich wspomagać.

— No, no! dosyć tego — rzekł pisarz. — Wiesz teraz, że niewolno ci żebrać bez pozwolenia Bractwa. Pokaż papiery...

— Nie mam żadnych...

— Osmagać i wypędzić — zawolali wszyscy.

— Cicho! — krzyknął pisarz, o stół stukając. — Zkad jesteś?...

I to mówiąc zaczął się baczniej przypatrywać Agacie, twarz jego wyrażała zdziwienie, potarł ręką nozdrze i zadumał się.

Z Rusi, powiedziałam wam i brat Groński mógłby sobie przypomnieć tę, która tu przed nim stoi.

Pisarz osłupiał.

— To być nie może! I zkad wy tu? Wtem w tłumie żebraczem!

— A wy sami panie Groński nie mieliście lepszego losu? nie pamiętacież lat weselszych? — zapytała Agata.

Stary pisarz westchnął:

— Co było, to było — rzekł — ale jakżeście tu zaszli?...

— Bieda lepiej pędzi od waszych biczowników i gorzej od nich smaga — odpowiedziała kobieta — choć i oni mają mało dla swoich braci litości.

— Takie to prawo — odezwał się z cicha pisarz. — Winien się każdy wprzód wpisać nim mu dozwolimy usiąść przed kościołem. A dzieje się to dla tego, aby włóczęgi, czarownice, złodzieje i podpalacze między nami się nie kryli i całemu nie szkodziли Bractwu.

— Wpiszcież mnie do swojego Bractwa i pozwólcie siedzieć pod kościołem P. Maryi.

Pisarz po chwili namysłu poszedł do stojącej w kącie szafy, dobył z niej księgę, począł przewracać karty, potem zawołał głośno:

— Przyjmujecież ją do bractwa?

Nie, nie! — zawołano jednogłośnie — wypędzić ją z miasta, wysmagać! Nie wiadomo co to za jedna.

— Ja ją znam — rzekł Groński — przed moją pielgrzymką do Rzymu i Kompostelli, widziałem ją na Rusi. Ręczę za nią.

— Niech wam Bóg zapłaci, bracie Groński! — zawołała kobieta.

— Nas i tak tu dosyć — zawołał Lagus i garbus — nie ma ona też pewno czem zapłacić wpisu..

— Za wpis płacić trzeba? — spytała Agata zdziwiona. — A ileż to?

Dziadowie i baby pokręcili głowami.

— Dziesięć groszy do skrzynki Bractwa, a na kaleki i chorych pięć.

Agata wyjęła z pod wierzchniego odzienia węzełek, wydobyla z niego kilkanaście groszy i położyła je na stół.

— A teraz kiedyście szczęśliwie do naszego Bractwa przyjęci zostali, niechże wam pan pisarz przeczyta prawa — odezwał się gburowato Lagus — abyście się ich trzymali, bo na to my starszyczna wybrani jesteśmy i biczownikami nazwani, abyśmy prawa naszego pilnowali biczem.

Wtem odezwały się dzwony kościelne z wieży P. Maryi i dziadostwo spiesźnie rozpraszać się zaczęło. Pisarz pozostał sam z Agatą.

— Powiedzieć mi — rzekł Groński pozostawszy sam na sam z Agatą — co was tu przypędziło, dla czego wzięliście torby żebracze i przywędrowaliście aż tu do Krakowa?

— Długa to i smutna historia — odpowiedziała Agata — a nie każdemu nawet powiedziećbym ją miała...

— Przecież mnie, który wam byłem nżyteczny. Niech wam to Pan Bóg wynagrodzi. Ale czy nie wydacie tajemnicy?...

— Powierzono mi ich już nie jedną w życiu, miał się na mnie żalić nie potrzebował, żem go zdradził...

— Przysięgnijcie mi na Boga ukrzyżowanego...

— Przysięgam, kiedy chcecie ż. milczec będę apłan po spowiedzi

— Słuchajcie — rzekła z westchnieniem ko- tak dalej mówiła. — Pamiętacie kiedyście byli na Rusi w waszym pielgrzymim stroju, wybieraliście się do Rzymu i jakieście na dwór nasz przyjeżdżowali...

— Oj pamiętam p. Agato, bom się tu u was zatrzymał i kilka miesięcy przeleżałem.

— Wierzę panie, naszą pamięć...

A któżby o niej mógł zapomnieć?... był to prawdziwy anioł w ludzkim ciele! dla ubogich, dla poddanych, dla księży, dla wszelkiego ludu!

— A jednak tak nieszczęśliwa!...

— Ona!...

— Jak ją tylko pamiętam, lzy ciągle na oczach jej tylko widziałam. Jedyna dziedziczka wielkich majątności, oddaną była przez umierającego z ran ojca w opiekę dwom stryjom. Obaj stryjowie mieli synów i każdy swego ożenić z nią pragnął, aby ogromne majątności sieroty z rąk tego rodu nie wyszły. Ona zaś z bojaźni Bożej dla blizkiego krewnictwa i widząc, że oni tylko z chciwości tego małżeństwa pragnęli, bardzo temu była przeciwną. Ale w mocy ich będąc, cóż począć miała? Szczęściem stryjowie między sobą waśnie się poczęli o bogatą dziedziczkę. O opiekę nad małoletnią w sądach rozprawiali ze zgorzeniem ludzkim i obrazą Bożą, bo wszyscy wiedzieli, że nie o sierotę ale o jej posąg i nazwisko im chodziło.

„Tymczasem Pan Bóg począł karać opiekunów. Starszy z tych dwóch stryjów, napadnięty przez Tatarów wraz z kilku synami, zabity został, tak że jeden tylko syn ocalał. Młodszy więc stryj jednego tylko syna mający, pozostał przy opiece nad sierotą.

„Zaledwie księżniczka doszła lat piętnastu na zamku Bracławskim, gdzie ją ciągle zdala od świata trzymano, stryj Jegomość przyjechał z synem i do ślubu z nim zmusił sierotę. Ze zaś to małżeństwo bez dyspensy zawarte, dla blizkiego pokrewieństwa unieważnione byćby mogło, tajemnie do Rzymu księdza jakiegoś wysławszy, ukrywał je tymczasowo przed światem.

„Ja już naówczas byłam na usługach księżny na zamku swym pod Bracławiem i niedaleko Winnicy. Pan nasz młody, którego poślubiła przymusem

nasza pani, lecz przywiązać się do niego nie mogła, niedługo pobawiwszy na zamku, puścił się za powracającymi Tatarami ku Dnieprowi. Ojciec dopiąwszy swego celu odjechał był do Krakowa. Znowu więc pozostałyśmy same w ciągłym strachu przed Tatarami, którzy płądrowali po całej okolicy. Księżna młoda ciągle wypłakiwała, bo uważała to swoje małżeństwo z tak blizkim krewnym za niebłogosławieństwo Bozkie.

„Jeszcześmy żadnej wiadomości nie odebrali o księciu, który się ciągle za Tatarami uganiał, gdy stryj już uspokojony kazał nam przyjechać na dwór królewski do Krakowa. Przybyliśmy tam na samą koronację królowej Barbary, do której nasza pani dziwnie podobną była. Królowa Bona bardzo łaskawie ją przyjęła. król też Jegomość miłem patrzył na nią okiem, zapewne z przyczyny jej podobieństwa do Barbary.

„Młoda księżna uchodziła tu za dziewicę, ponieważ stryj trzymał jeszcze ciągle jej małżeństwo w tajemnicy. Aż tu nagle księżna zachorowała i przywołani lekarze osądzili, że rod książęcy miał się pomnożyć. Spadł wstyd wielki na biedną księżnę. Królowa Bona z fukiem, groźbą i srogim gniewem wystąpiła na nas, więc księżniczka z płaczem wyznała wszystko. Wezwano natychmiast listami księcia stryja, ale jemu przywieziono w tym samym czasie z nad Dniestrowej wyprawy na Tatarów, syna śmiertelnie ranionego, tak że wkrótce ducha wyzionął. Stary ojciec z rozpacz po stracie jedynego syna, zachorował i umarł.

„Księżniczka nasza pozostała sama! Dowodów jej małżeństwa wyszukać nie podobno było, bo stary książę sam się tem potajemnie zajmował. Tymczasem przyszło na świat dziecko, był to syn, ostatni, teni, rodu potomek.

„Atoli w tym samym czasie stryjeczny brat meża księżniczki, ten co jedyny pozostał przy życiu w czasie wojny z Tatarami, w której ojciec jego i dwóch braci poległo i który potem przez wiele lat przebywał za granicą, powrócił nagle do kraju. Wielkie długi na obczyźnie zaciągawszy, byłby pozostał bez wszelkiego mienia, gdyby go król Jęgośność nie był poratował starostwem. Zaraz zwrócił on oczy na księżniczkę i żenić się chciał z nią koniecznie. Ale pomimo namowy królowy pani, króla i prałatów, młoda pani moja oparła się temu, mówiąc, że Bóg już ją dosyć ukarał, za pierwszy związek z stryjecznym bratem.

„Ztąd nowo przybyły książę powziął wielki gniew na bratową stryjeczną i pomścić się postanowił. A że dowódów pierwszego małżeństwa nie było, zaniestony manifest zaprzeczył dziecięciu nowonarodzonemu wszelkie ich praw do nazwiska macierzystego i do majątku. Nie dość na tem, książę zaprzysiągł, że dziecko zgladzi ze świata.

„Na dworze, jak zwykle na dworach wielkich, bywa różnie o nas mówiono; jedni to dziecko prawego mieli potomka, drudzy zaś nie. Królowa Bona, może lękając się, aby po śmierci Barbary (którą weześnie przewidziała) król Zygmut Angul do księżniczki się nie zwrócił, kazala nam wyjechać z Krakowa.

„Zabrałyśmy się tedy na Ruś ku Wołyniowi, gdzie się znajdują dobrą księżny. Ale nasz wrog nie śypiał sprawy. Kilka razy w drodze dziecko nasze oddrzec usiłowano, napadanych w drodze ledwo nas ludzkie obroncie zdolali. Gdysm już przybyli do miejsca, wysłano za nami zdrójców i trucieli, którzy czekali na życie królowej i księżniczki.

„Pomimo szczere przywiązanie do syna, król

nie mogła go dłużej utrzymywać przy sobie. W największej tajemnicy poruczono to dziecie mnie, com go była wykarmiła. Ukryliśmy chłopca na Polesiu głębokiem, w cudzych dobrach, domek najawszy.

„Tak dziecie rośło w ciągłym strachu matki, która go widywać nie śmiała i na moje ręce pieniądze na potrzeby jego przysłała. Tymczasem jednej nocy napadnięto dworek, gdzie mały Staś już teraz mieszkał ze starym ochmistrem, starca zabito a chłopiec cudem tylko uszedł śmierci lub porwania, w zarosła się ze strachu ukrywszy.

„Przestraszona tem zdarzeniem, umyśliłam wysłać chłopca do Krakowa, bo w wielkiem mieście najłatwiej się ukryć można, ale na to potrzeba było z zwołenia matki, pieniędzy i ludzi zaufanych.

„Oddawszy Stasia pod opiekę mego krewnego, udałam się na zamek księżny pani, ale już w drodze dowiaduję się, że jój tam nie ma, że ksiązę brat jój tryjeczny objął prawem spadku jój majątności. Co się stało z księżną dowiedzieć się nie mogłam. Jedni mówili, że zabita, drudzy, że w klasztorze zamknięta, a wszyscy się na to zgodzili, że wyjechała z domu z jednym sługą, zapewne porwana przez nadsadzonych na to ludzi.

„Tak więc chłopien krwi książęcej, nikt prócz mnie jednej nie pozostał. A i na mnie oczy wroga zwrócone były. Musiałam więc wysłać biednego chłopca do Krakowa, pod opiekę Bożą i Anioła stróża. Sama później dopiero nadeszłam tu za nim. Dla tego widziecie mnie pod tem żebraczem odzieniem, innego wiaść nie mogłam, bo i tu na mnie patrzą, a zdaje mi się, że i na chłopca już spoglądają i domyślają się czegoś.”

Pisarz, który całego tego opowiadania z wielką słuchał uwagą, wstał wreszcie z ławy.

Niepojętych napowiadaliście mi rzeczy — rzekł. — Dziwy! dziwy! ale cóż się z księżną stało ogło?

Nikt nie wie.

Nie staraliście się dowiadywać?

— O i owszem, chodziłam, badałam, śledziłam, ale wszystko na próżno.

A chłopiec jest tutaj?

Tak tu w Krakowie, między żakami ubogimi, ale pod łachmanami jego biednego ubioru znać pochodzenie, widać z twarzy ród księży.

Temci gorzej. Ale powiedzcież mi, czegoż się lęka jeszcze ten stryj niegodziwy, wszakże nie ma dowodów jego narodzenia?

Są — odpowiedziała Agata. — Jest metryka dziecięcia, są świadectwa ślubu, przez zaufanego duchownego wysłane do Rzymu, są i świadkowie.

Jakże dawno znikła księżna?

Zaledwie kilka miesięcy temu.

Jakże mógł książę objąć jej majątkości nie mając dowodów śmierci?

Wymyślono dowody, bo tam oni, co chcą to czynią, a wiecie że powadze starego imienia książęcego, bogactwu i związku, mało co u nas oprzeć się potrafi.

— Prawda to — rzekł pisarz kiwając głową. — Biedne dziecko! I czemuż myślicie być mi tu pomocą?

— Przynajmniej on chleba żebrać nie będzie — za niego — odparła Agata. — Dla tego kupiłam sobie prawo siedzenia pod kościołem Panny Maryi, bo mi ztąd łatwiej będzie dopatrzeć chłopca i jemu mnie tam znaleźć.

— Nie dadzą wam tam siedzieć spokojnie — rzekł pisarz — będą was dręczyć i przesładować, bo starożytna zazdrośna o jałmużnę u P. Maryi, która więcej warta niż stragan na rynku.

Wszystko ponosić będę chętnie dla tego chłopca — rzekła Agata i powstawszy z ławy pożegnała pisarza.

W samych drzwiach spotkała się z żydem Hahngoldem, który na progu izby stanawszy, pytał stłumionym głosem.

— Lagus jest tu, Lagus?

Nie ma go — odpowiedział pisarz — wiecie zapewne gdzie go szukać, a nie wchodźcie tu żydzie, to poświęcone miejsce. Precz! precz!

Żyd umknął uliczką. Agata wyszła powoli za nim, gdyż zapytanie o Lagusa wzbudziło w niej jakieś niepochwytnie podejrzenia.

III.

Przeniesmy się teraz ze stolicy myślą w głąb kraju na Podlasie, do Knyszyna, kędy ostatni z Jagiełłów dokonywa smutnie żywota, otoczony kobietami, pochlebcami, tłumem cheiwych, łakomych ludzi, bez sereca i wstydu na czole.

Późnym wieczorem jesieni, ciągnie się po błocie do miasteczka wózek skórą obity, zasłonięty firanami skórczanemi, zaprzężony czterema lichymi końmi. W przodzie jego siedzi żyd woźnica i stary, osiwiały, ciemno ubrany mężczyzna. Żyd zacina konie w mileczeniu, spoglądając na cel podróży, miasteczko zamek. Wtem, pomimo deszcz ulewny, rozwarła się korzanna zasłona, białą ręką odsunięta i ukazała się twarz kobiety śmiertelnie bladój, rysów twarzy dziwnie pięknych, oczu świeżym płaczem zamglonych, ognistych jeszcze. Rzekłabyś, że powstała z trumny i otworzyła oczy pod całunem. Kreza stojąca waczala jej szyję, głowę czarny wdowi czepiec objął wychudłą twarz zasłaniał.

Nieznajoma spojrzala, przeżegnała się i drżąc zaczęła odmawiać modlitwę. Potem cichym, miłego

dźwięku głosu spytała starego sługi, siedzącego obok żyda na koźle:

— Czy to Knyszyn?

— Tak, pani, tak.

I firanka spuściła się znowu, a żyd z, starym sługą coś szeptać poczęli.

W powozie słyhać było płacz i stłumione lkania, przerywane niekiedy rozmową.

Kobieta w podeszłym wieku, siedziała w powozie obok pierwszój i starała się pocieszać i utulić rzewnie płaczącą panią.

— Pani, pani, czyż lzy co pomogą? — mówiła — zbliżamy się do celu, może Bóg da, że król Jegomość wymierzy wam sprawiedliwość. Niema jeszcze czego rozpaczać.

— A moja Janowa, czyż ntrata dziecięcia, wszystko co przecierpiałam, nie wyciskają mimowoli łez z oczu? Mój Staś! Bóg wie gdzie! może go już pochwyćli!... może...

— Bóg strzeże sieroty... Agata poszła, za nią pan Czornyło...

— Wszystko to sobie mówię, a jednak płaczę mimowolnie. Kto wie czy król Jegomość poznać mnie zechce i czy ujmie się za krzywdę moją.

— Ja nie wątpię.

— Zbliżając się do miejsca, w którem ostatnia moja nadzieja — mówiła dalej płacząca kobieta — strach serec mi ściska. Sama jedna! jak się mam dostać do króla, jak uprosić, jak mu wytłómaczyć!...

— Chyba pani w opiekę Bożą nie wierzysz nad dzieckiem i nad sobą? — odczuwała się Janowa.

— O! gdybym w nią nie ufała, dawnobym była umarła z rozpacz.

— Bóg zśła krzyże na tych, których kocha — pocieszała ją Janowa.

Wśród takich rozmów wjechali w miasteczko

którego szerokie ulice otoczone lichymi domkami, gdzie nie gdzie przecięte porządniejszą budową, pełne były błota.

Deszcz lał jak z wiadra, miotany silnym wiatrem, drzewa chyliły się, resztę liści tracąc porywanych burzą, kilku żydów brodziło po zalanych błotem uliczkach. Na prawo widać było zaniczysko.

Nieznajoma spojrzała nań z poza firanek i znów modlić się poczęła. Minęli kościół, przejechali przez rynek i stanęli wreszcie przed dość lichym domem zajezdnym.

Stary sługa mimo podeszłego wieku, zeskokczył razno z kozła, pobiegł do wysiadającój pani, wziął ją jak dziecko na ręce i schylając się uważnie wniósł ją do izby. Za niemi starsza niewiasta powłokła się powoli.

Izba, do którój weszli, była brudną i pustą, ale jednak nowo przybyli oswojem już z biedą i podróżą znaleźli ją dość wygodną. Pani usiadła na gołym tapczanie i pograżyła się w dumaniu, podczas gdy służby krzatali się, znosząc tłómoki, robiąc posłanie, zatykając dziury i starając się jako tako izbę uprzątnąć.

— Spytajcie o króla — rzekła wreszcie pani.

Stary sługa, którego zwano Palejem, niegdyś Kozak, jak po części z wąsów zawieszistych, po części z buty poznać było łatwo, zafrasował się, pokręcił głową i odpowiedział:

— Już ja się pytałem. Król jest w Lublinie.

Młoda kobieta spojrzała na niego załamując ręce.

— Ale ma powrócić wkrótce — dodał stary. — Spodziewają go się lada chwilę.

— A tymczasem spoczynieny — odezwala się Janowa — pani potrzebujesz spoczynku.

— Spokoju nie spoczynku potrzebuje — odpowiedziała zaplakana pani. — A! póki król nie roz-

strzygnie sprawy pomiędzy mną a moim wrogiem, póty wszelka myśl o spoczynku dla mnie daremna.

W téj chwili ubrany w czarny żupan, podpasany jedwabnym pasem, żyd gospodarz domu wszedł do izby unosząc nieco jarmułkę.

— Prawda to, że się króla lada chwilę spodziewają? — zapytała żywo nowoprzybyła pani.

— O tak — rzekł żyd gladząc brodę — już p. Koninszy miał posłańca. Pan Białawski, nasz starosta, czeka na Najjaśn. Pana; wozy idą, Książik już przyjechał, król dziś, albo jutro tu będzie.

— Kto to Książik?

— Jasna pani nie wie? — z podziwieniem spytał żyd. — No! to wielka figura, choć mały człowieczek, przez niego wszystko zrobić można. On, pan podkomorzy i pan krajczy. Mniszechowie i łęgid, to co chcą to robią. Książik to pokojowiec królewski, a teraz jemu i senatorowie się kłaniają, a on i im nieraz drzwi przed nosem zamyka.

I żyd z niejaką wzgardą i oburzeniem wzruszył ramionami.

Nazajutrz około południa, ukazał się na drodze wiodącej od Lublina, długi rząd pokrytych skórą pojazdów, koni podwodowych i jeźdźców, zmierzając prosto ku królewskiemu zamkowi. Tu i w komnatkach panował ruch niezwykły.

Po kominach rozpalono ognie, wymiatano podłogi, kadzono wykвітłnemi kadzidłami. Wreszcie przyprowadzono wszystko na przyjęcie króla, który też niebawem przez most zwodzony przyjechał i z kareta stanął przed bramą zamkową.

Z królem Zygmuntem Augustem jechali do Knyżyna z senatorów: Franciszek Krasiński biskup krakowski, Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, marszałek Wielki, Stanisław Sędziwój Czarnkowski, referendarz koronny. Każdy z nich wiodł dwór odpowiedni sta-

nowi i dostojęństwu, a połączone te orszaki i dworzanie królewscy tak zapamiętali dziedziniec, że się w nim obrócić i przecisnąć przezeń było trudno. Króla dworzanie, Mikorski i Wilkowski, z karety wyjąwszy na rękach do komnat wniesli i posadzili w wielkiem złożoną skórą obitem krześle, stojącem przed palącym się na kominku ogniem.

Izba, w której spoczywał August, wybita była czerwoną materją w złociste kwiaty. Sufit jej z belek ciemnych zrobiony zdobity gwiazdy pozłacane. Podłoga kamienna pokryta była suknem zielonem. Jedne drzwi wiodły do wielkiej sali, drugie do sypialni. Nad kominkiem z szarego marmuru stał zegar i wisało duże lustro ze szkła weneckiego. Kilka krzeseł, siedzenie dywanem perskim okryte, stolik lakierowany, umeblowały całe urządzenie komnaty. Okna jej w pół zasłonięte firankami z takiej samej jak obicie materji wychodziły na stronę miasteczka.

Ostatni z Jagiełłów wyciągniony w krześle przed kominkiem spoczywał. Znużony drogą, zdawał się w połę śpiący. Wychudłe jego ciało okrywała długa zata czarna, nogi poobwijane grubą i czarną chustą okryte, spoczywały na poduszce skórzanej złotym galonem obszytej. Twarz jego sino-błędę cery, długa była, koścista i martwa. Nos pociągły spuszczał się ku dolnej wardze, oczy w głąb zapadłe pomarszczona kreniała powieka. Rzadki, ciemny włos spadał mu na czoło, broda rzadka także mu spływała na piersi, włos czarny, długi i gęsty wąs, czynił zdala twarz bledszą jeszcze.

W całej postawie króla Augusta widać było zmęczenie, wycieńczenie, brak siły i niemiłą rozpacz. Chwilowo otwierające się oczy były jakby śpiące.

Niedaleko króla, w kącie na niskim stołeczku, opierał o mur głową, z założonemi rękoma, drzemał

młodzieniec, około lat dwadzieścia i kilka mający, bladą twarz, jasnego włosa, z sinymi znakami pod oczyma i zeszlęmi usty. Siwe jego oczy zwracały się raz po raz na króla z wyrazem jakiegoś dziwnego szyderstwa.

Śmiały, bezwstydy, zepsuty wcześniej młodzieniec widocznie nie lękał się swego pana, który bezwładny i znużony leżał o kilka kroków od niego.

Był to Książek, o którym żyd oberżysta z taką wspominał pogardą. Ubiór jego składał się z ciemnego odzienia wierzchniego. Na szyi miał srebrny łańcuch, pończochy czarne, trzewiczki także z wstęgami zielonego koloru.

August odpoczywał, marzył, a czasem bolesne drgania, zdradzające boleść duszy i ciała, wstrząsały całym jego ciałem.

Smutno było w tej komnacie; dochodząca tylko z dziedzińca wierzawa przerywała tę grobową ciszę.

Tymczasem na drugim końcu zamku, w obszernej, dobrze ogrzanej komnacie, żywa toczyła się rozmowa pomiędzy biskupem krakowskim, panem Czarnkowskim i świeżo przybyłym młodym panem Tarnowskim.

— Poco my się tu wlecemy za dworem — mówił widocznie rozgniewany biskup — aby być chyba świadkiem nieszczęścia, tego pana naszego, tej ruiny skarbu.

— Pojmuję i dzielam oburzenie Wasze — rzekł Czarnkowski — ale myśmy jak żołnierze na posterunku, czy robią co, czy nie dokażą, stać powinni.

— Powinni! — powtórzył biskup, minąc w palcach złoty łańcuch wiszący mu na szyi. — Ale to ohyda...

— To nieszczęście — odpart referendarz smutnie. — Nieszczęście to zdawna przygotowała królowa matka; niech jej Bóg da...

Sprawiedliwość! — przerwał biskup żywo.

Tak, nie więcej — powtórzył Czarnkowski — mówił dalej — wychowała go na niewieściucha, dwie żony wydarła mu, wprawiała i pchała go do zbytków, aby nad osłabionym na ciele i duchu królem i nad całą Polską sama panować mogła.

Panowała też czas jakiś — mówił referendarz. — Lecz najbardziej zatruiło mu życie to nieczesne ożenienie z Katarzyną, siostrą Elżbiety. Gdyby kardynał Commendoni nie był się wzbraniał dać zezwolenia na rozwód, o który August błagał ze łzami, życie króla i losy naszej ziemi odmiennieby może były.

— Jako duchowny miał Commendoni słuszność — odczytywał biskup — ale nie zawsze jedno prawo może dla wszystkich.

Tak, bo król straciwszy nadzieję wyswobodzenia się z tych niecznośnych mu więzów, rzucił się w rozpacz w wir życia. Zdrowie utracił, skarbiec zmarnował, spraw publicznych zaniedbał.

— I jeden pokojowiec — zawołał biskup drżącym głosem — zamyka przed nami drzwi, niedopuszczając senatorów do króla!

Gdy biskup słów tych domawiał, ukazał się we drzwiach medyk królewski, Fogelfeder, blady, pomiętny i nisko się skłoniwszy biskupowi, rzekł z eicha:

My tu, a i czarownice za nami!

— Co? — zawołał biskup błędąc.

Są tu już! — zawołał z oburzeniem kiwając głową Niemiec, w którego pociągłej twarzy wyrażały się wielki gniew i niepokój.

— Kto je przywiódł? spytał biskup.

Za wyraźnym rozkazem Jego Królewskiej sprowadzono z Wilna jedną, druga nie wiem, trzecią już tu podobno dawno na nas czekała — powiedział medyk.

— Kto z niemi przyjechał?

— Z Wilna Koryskę dworzanin królewski przywiozł...

— Coż z nią myślą czynić?

— Wszakże nie na eo, tylko dla leków ją przywieźli — rzekł z rozpaczą Fogelfeder — za życie królewskie odpowiadam, jestem lekarzem, a te baby, gotowe mu dać ziele jakie, one gotowe nieczystą, dyabelską mocą napędzić chorobę.

— To są czarownice — rzekł referendarz — słyszałem już o nich. Nie można żadną miarą dopuścić, aby one co z królem czyniły.

— A zlitujcie się, niedopuszczcie! — przerwał zalamując ręce Fogelfeder.

— Chodźmy — rzekł biskup.

— Chodźmy — dodał referendarz. — Posłać po pana marszałka litewskiego, pójdziemy wszysej razem, upadniem do nóg królowi, błagać go będziemy.

I żywo ruszyli do drzwi, gdy te otworzyły się z trzaskiem i wszedł Mikołaj Radziwiłł, W marszałek litewski.

— Dokąd? — spytał, widząc zabierających się do wyjścia.

— Do króla.

— Pięć razy byłem i niedopuszczono mnie do niego — rzekł gniewnie marszałek. — Ci ławoryci stoją jak psy u drzwi i szczekają.

— Ale to być nie może, żeby nas nie dopuszczono! — zawołał biskup — tu idzie o życie królewskie! Czarownice są w zaniku, które go leczyć mają, my na to zezwolić nie możemy. Ta halastra sprowadza z całego świata oszustów i niegodziwe niewiasty, aby niemi wyciągnąć resztę groszy z królewskiej szkatuły i podzielić między siebie. To zgroza.

— Chodźmy — rzekł Radziwiłł — ale z góry powiadam Waszmościom, że nas nie dopuszczą.

Przeszli dziedziniec i skierowali się ku komnatom królewskim, Fogelfeder, który z początku siedział za nimi, pozostał w tyle i odszedł zasmucony do swego pomieszkania.

Senatorowie bez przeszkody przyszedli na salę przyległą do komnat królewskich. Tutaj powitał ich grzecznym ukłonem Mikołaj Mniszech, podkomorzy koronny i główny faworyt królewski, mężczyzna w średnim wieku, słusznego wzrostu, z endzioziemka ubrany.

— Do króla Jegomości przychodzimy — rzekł biskup.

— Poślę spytać — odpowiedział Mniszech Najj. Pan znużony drogą spoczywa i oznajmił, aby dziś nikogo doń nie dopuszczono.

— Sprawa pilna — odezwał się Radziwiłł.

Poślę spytać — powtórzył podkomorzy i zapukał lekko do drzwi komnaty królewskiej.

Wyszedł Kniazik, spojrzał zuchwale po przybyłych i rzekł gburowato:

— Nie można...

— Śpi? — rzekł mrużąc oczyma Mniszech.

Nie śpi, ale nie można — odrzekł służalec.

A dla czego? — odezwał się referendarz.

Dla czego? bo nie można.

Ale cóż się z królem dzieje? czy wam tylko każdej godzinie wolno przystępować do niego? — zawołał z oburzeniem biskup.

Podkomorzy Mniszech, ruszył ramionami z uśmiechem, poszedł do drzwi otworzył je ostrożnie, zdawało się jakby coś mówił po cichu i zaraz powrócił.

Król Jegomość przyjąć nie może — rzekł.

Ale na Boga dla czego? mówiliście, że sprawa nagle,

— Mówilem. Król Jegomość odpowiedział: Po-
czekać do jutra.

Biskup żywo się odwrócił i rzekł do towarzyszy:
— Chodźmy, to próżno.

I wyszli. Mniszech rozśmiał się głośno siadając na krzesło przy oknie. W dziedzińcu spotkali Fogelfedera.

— I cóż? — spytał Niemiec trwożliwie — i cóż?

— To co zawsze — odpowiedział referendarz — odprawiono nas z kwitkiem.

— Na Boga, ale jutro to już za późno! Te kobiety! te kobiety! One króla oczarują! one go otrąć mogą!...

I w rozpaczę łamał ręce. Podkomorzy Mniszech, który przez okno widział wszystko, śmiał się i z gniewu senatorów i z rozpaczę lekarza, którego powodu się domyślał.

Nadszedł wieczór. W pokoju królewskim dwie świece woskowe paliły się nad kominkiem. August już się był dawno przebudził, lecz siedział pogrążony w marzeniach z wyciągniętymi nogami, na których ból ciągle się uskarżał.

Wtem z cicha podniosła się zasłona sypialni i do komnaty wszedł człowiek małego wzrostu, rudy, krótko ostrzyżony, z oczyma zielonawemi i zarosłą brodą. Był to Jakób podczaszny.

Król posłyszawszy szelest, odwrócił się nieznacznie i zapytał:

— Jest Korycka?

— Dzisiaj przyjechała — odpowiedział z cicha podczaszny.

Niech wszystko będzie gotowe, po wieczero będę u niej. Przyjmijcie ją w waszem mieszkaniu. Zapytajcie ją wprzód, jaką radę na moje nogi może. O! jak one mnie bolą!

I biedny król jęknął, chwytając się za kolano. Potem dał znak podczaszemu, aby odszedł.

W komnacie znów cisza grobowa zapanała.

Wreszcie wybiła godzina 10. August ocknął się z bo-
nego dumania, kazał sobie Kniazikowi podać długą
czarną opończę, otulił się w nią, włożył na głowę cza-
pkę bobolową i wsparty na łascie z gałką złocistą,
spoglądał na drzwi niespokojnie. Wtem Jakób pod-
czaszy zjawił się na progu.

Gdzie Mniszech? — spytał król August nie-
cierpliwie.

Na to zapytanie otworzyły się drzwi od przyle-
głej sali i podkomorzy Mniszech, poprzedzony przez
dworzanina Czarnotulskiego, wszedł do komnaty. Au-
gust opierając się na Kniaziku, tejże chwili ruszył się
w miejsce, skinąwszy aby szli przodem.

Boczne drzwiczki uchylono i naprzód Czarnotul-
ski, za nim Mniszech, potem król oparty na Kniaziku,
wreszcie Jakób podczaszy, wyszli na kurytarz, w któ-
rego drugim końcu było mieszkanie podczaszego. Ni-
kogo nie spotkali na kurytarzu, dalej świeciła otwarta
komnata, w której czekała już na nich wróżka-le-
rka Korycka.

Była to stara, zgarbiona niewiasta, chuda i osi-
niała; tylko oczy jęj błyszczały jakimś niezwykłym
tym wieku blaskiem. Miała na sobie czarną, długą
suknię i takąż zasłonę na głowie. Z podniesioną
łokciem, z spojrzeniem zuchwałem, które aż w duszę
tego, na kogo spoziera, zapuszczać się zdawała, Ko-
rycka stała nad wiadrem wody, w której zanurzony
był czerpak.

Gdy król August wszedł, zmierzyla go najpierw
oczyma, a potem pochyliwszy się ku ziemi, zaczer-
pnęła wody, nad którą jakieś słowa tajemnicze sze-
merła, a napiwszy się jęj wprzód sama, podała ją
królowi, mówiąc;

Wypij Najjaśniejszy Panie.

August obejrzał się na Mniszcha, zawahał się,
ecz po chwili wychylił napój z widoczną odrazą.

— To nie dość — szepnęła baba — obmyć się całemu w téj wodzie trzeba. Zostawcie nas samych.

I wskazała na drzwi. Gdy wszyscy wyszli, August rozbierać się począł. Ale bezsilny musiał nzywać pomocy Koryckiej. Ona rozebranego oblala zimną wodą, szepcząc jakieś tajemnicze słowa, potem wycierała całe ciało grubemi płatkami i posadziwszy wreszcie na krześle drżącego od zimna króla, dała znak dworskim, aby weszli.

Mniszech zaprowadził teraz króla do izby podczasowego gdzie się palił ogień na kominie. Korycka tymczasem, zniósłszy w obecności wszystkich wodę po wschodach, wylała ją do rzeki wymawiając przytem niezrozumiałe wyrazy.

Po chwili powróciła, August kaszlał i trząsł się, ona dała znów znak, aby wyszli.

— Będziecie zdrowi N. Panie — rzekła im — choroba odeszła i uleciała z wodą.

August poruszył powątpiewająco głową, lecz rzekł po chwili milczenia:

— Dziękuję Wam, czuję się lepiej, pozostanę tu w zamku.

I to mówiąc zwrócił się ku drzwiom, a z jego ruchów widać było, że nieco sił odzyskał. Wycieranie zimną wodą, znanem już było i wówczas osobom trudniącym się leczeniem.

IV.

Gdy się to działo w komnatach królewskiego zamku, na dole w izbie dla służby dworskiej przeznaczonej, gwarno było i wesoło. Polacy, Litwini, Kozacy, Rusini, Francuzi, Niemcy w służbie wielkich panów będący, wszyscy pospołu gwarzyli. Cyganie, niewiedzieć z kąd przybyli, obdarty, ogorzały, skakał grając na drumli, stary żyd zabierał się brząkać na cymbałach. Dodawszy do tego gwar, śmiechy i krzyki

można mieć wyobrażenie wrzawy, jaka panowała w czeladnicy.

Na ustroniu dwóch starych ludzi rozmawiało z obą. Jeden z nich był to kozak Palěj, przybyły tegoż dnia z nieznaną panią do Knyszyna; drugi, sługa pana Mikołaja Radziwiłła, Hło Litwin. Oba starcy poglądali smutnie na pannę, tu ruch i gwar z wyrazem jakiegoś politowania.

— Być że to może — mówił Palěj — król tak bardzo chory?

— Tak, a co najgorsza, że lekarzy nie słucha, a w czary wierzy. Coraz to inną babę sprowadzają, a co jedna podleczy, to druga mu zaszkodzi.

— A panowie senatorowie co na to mówią?

— Im drzwi przed nosem zamykają, jak się to i dziś stało.

Powiedźcie mi, do kogo moja pani ma się udać z tą swoją sprawą?

— Do kogo? — rzekł z gorzkim uśmiechem Litwin — a jużci nie do Radziwiłła pana mego, ani do biskupa, ani do referendarza, ale do Mniszchów, a bodaj do Kniazika lub Jakóba podczaszego, to będzie najskuteczniej.

— Ale ona nie zechce..

— Inaczéj nie nie zrobi — smutnie odrzekł Hło

— Nie można by jednak, aby księżna pani poradziła się księcia marszałka i widziała się z nim jutro! — zapytał Palěj.

— Dla czego nie? Jeszcze mu dziś powiem o tem — odpowiedział Litwin — ale z góry przestrzegam, że przez nas nie nie zrobicie, raczejby wam jako Rusinowi ze znajomemi do Kniazika się udać.

— Ależ Kniazik pokojowiec tylko.

— On więcéj tu znaczy niż ksiączę marszałek....

— Dziwne, to dziwne czasy! — westchnął Palěj kiwając głową.

Pójdę teraz do księcia — rzekł Litwin —
 i zdziwię zdrowi...

Ścisnął starego za rękę i odszedł.

Nazajutrz wielka, niespodziewana zmiana zaszła w zdrowiu królewskiem; August obudził się rzeźwy, puchlina na nogach znacznie się zmniejszyła. Fogelieder przypisywał to po prostu skutkom podróży. Korycka swemu nacieraniu zimną wodą, a senatorowie dziękowali Bogu, że królowi babskie leki nie zaszkodziły przynajmniej.

August jakby ze snu zbudzony, ogłądał oknem wprowadzone na dziedziniec ulubione swoje stado knyszyńskie. Lecz nie był to już ten gorliwy o wzrost wszystkiego w kraju król, który takim kosztem i z takim upodobaniem zaprowadzał gospodarstwo po majątnościach swoich, mierzył grunta, chował stada i lał działa w lejarni wileńskiej, aby niemi uzbrajać zamki litewskie i ruskie. Teraz mu wszystko obojętnem było. Dla niego niema już przyszłości; w kilka lat, które mu jeszcze pozostają do życia, topi w nasycaniu żądz schorzałego ciała, szukając wtem zapomnienia przeszłości.

Zrobiwszy przegląd swych stadnin, August kazał poprosić do siebie Radziwiłła. Ale już po krótkiej rozmowie, gdy pokojowiec Kniazik wszedł do komnaty, książę marszałek pożegnał się i wyszedł.

Zasmucony przesunął się przez salę, zeszedł z wschodów, a na dziedzińcu spotkał lłę, dworzanina swego oczekującego nań.

— Oczekuje na Waszą Księżęcą Mość — rzekł stary Litwin.

— Kto?...

— Księżna Sołomerecka.

Radziwiłł się zadumał.

— Jaka księżna? — spytał.

— Jednać jest tylko...

— Umarła przecież, jak nam z Rusi donoszą.

— Żyje i chce pomówić z Waszą Książecą Mością, przybyła prosić łaski królewskiej i sprawiedliwości na stryjecznego brata, który jęj majątność zagarnął.

Książę marszałek stał w podziwieniu.

— Gdzie ona jest?...

— W mieszkaniu Waszój Książecój Mości.

Radziwiłł pospieszył do domu.

Na progu swój komnaty, spostrzegłszy kobietę w czerni ubraną, okrytą zasłoną wdowią, osłupiał i cofnął się...

Księżna tak była podobną do niebożczki królowy Barbary, że marszałek tem dziwnem podobieństwem uderzony, mimowolnie zastanowił się i zmieszał.

— Do łaski Waszój Książecój Mości — odzwała się księżna zbliżając — po sprawiedliwość królewską przybyłam.

Głos jęj był także podobnym do dźwięcznej mowy nieopłakanej nigdy młodej królowy, że książę marszałek nie wychodził z podziwienia.

— Przebaczcie — rzekł nakoniec — dziwne podobieństwo, przypomnienie, odjęło mi przytomność... Proszę, słucham i w imię tój, do której głosem waszą tak bardzo podobni jesteście, uczynię wszystko, wszystko co będę mógł.

Dzięki, choć za pociechę, której dawno nie kosztowałam — płacząc odpowiedziała księżna Solomoneczka. — O! zaprawdę jam bardzo biedna i za usługę u Boga mieć będzie, kto mnie podźwignie z nie-szczęścia... Lecz ja nie wiem, czyście nawet słyszeli kiedy o mnie?

— Owszem, pamiętam stryjów Waszmości i słyszałam o ich natrętnem pragnieniu ożenienia was.

— Stało się temu zadosyć — odpowiedziała księżna. — Zaledwie dorosłam, zaślubił mnie młodszy

stryj z swym synem, ale bez dyspensy papieskiej, po którą wysłany zaufany dnehowny do Rzymu, zaginął gdzieś w drodze i niepowrócił. W czasie gdy jeszcze małżeństwo moje w tajemnicy być musiało, wysłano mnie na dwór królowy matki, powitałam syna. Mąż mój zabity w potyczce z Tatarami, ojciec jego umarł z rozpaczy, ja wdowa z dzieckiem pozostałam. Brat stryjeczny męża mojego, naówczas właśnie z zagranicy powróciwszy, ani małżeństwa mego, ani dziecięcia za prawe uznać nie chciał. Owszem dziecko to pogrobowe starał się i stara pochwycić, aby sam mógł zagrabieć majątności moje. Syna mojego ja matka porzucić, rozstać się z nim musiałam, aby nań niebezpieczeństwa nieściągnąć. Napadany kilkakrotnie przez złych ludzi, cudem tylko Opatrzności Bożej ocalony został. A teraz bez opieki, sierota, chleba żebrać musi — dodała z płaczem. — Jam sama za umarłą ogłoszona i dobra moje zagarnione! Po tajemnym moim wyjeździe do króla, pan brat nie wiedząc, co się ze mną stało, śmierć moją ogłosił i majątności objął.

— Do tych was powrócą — rzekł marszałek z zapalem — ale dziecię? Są że dowody tego nieśczęsnego małżeństwa?

— Niestety! są one w ręku księdza, który je dla wykazania dyspensy zawiózł do Rzymu.

— A ten ksiądz, powiadacie, nie powrócił?

— Nie się o nim dowiedzieć nie mogłam.

— Jak się uazywał?

— Hauser.

Radziwiłł się zamyślił.

— Dawno wyprowadzony? — zapytał.

— Przed piętnastą laty.

— I żadnej o nim wieści?

— Żadnej.

— To okropnie! — zawołał Radziwiłł — ale pewno są świadkowie?

— Nie wiem, bo wyszukać dotąd ich nie zdołałam.

— Król J. M. zna was? — dodał Radziwiłł, niepokojnie wpatrując się w księżnę.

— Nie wiem, czy mnie zechce przypomnieć sobie — odpowiedziała księżna, spuszczać oczy. — Byłam przez czas niejaki na dworze jego matki.

— Spodziewam się, że wszystko pójdzie dobrze — rzekł Radziwiłł — postaram się wprowadzić was do króla wieczorem. Tymczasem nie ukazujcie się nikomu. Mogliby wam szkodzić!

To powiedziawszy powstał, pożegnał Sołomerecką i udał się do króla. Ale drzwi zastał zamknięte i znowu odszedł, nie zobaczywszy króla. Takim sposobem dzień upłynął. Radziwiłł pragnąc oznajmić królowi o przybyciu Sołomereckiej, nie mógł się do niego dostać, pomimo, że on jeden z senatorów ławniejszy miał przystęp do Augusta i był mu miłym.

Zmierchało już, gdy księżna znowu powróciła na zamek w tem samem ubraniu co z rana, w żałobnej sukni i wdowiej zasłonie. Z pod téj zasłony jej blada twarz bielszą się jeszcze wydając, nderzała wszystkich dziwnem do Barbary podobieństwem.

Książę marszałek uprosiwszy, aby zarzuciła zasłonę, podał jej rękę i w milczeniu powiódł ją na schody. Głębokie panowało milczenie; szczęściem nikogo nie zastali w sali, ani podkomorzego, ani podczaszego, ani żadnego z tych sług zuchwałych, którzy zwykle tamowali wejście do króla. Radziwiłł zapukał znanym sposobem i głos ze środka ozwał się słaby:

— Wejdźcie!

Zmierchało; na kominie dopalał się ogień czerwonymi blaski rzucając na komnatę; z okna trochę

wpadało światła. Na wezwanie Augusta książę drzwi otworzył i zrzucając kwef z głowy Sołomerecką ukazała się na progu.

August podniósł oczy, zatrząsł się, krzyknął, porwał się z siedzenia i przerażony zakrywając oczy rękoma, upadł.

— Basiu! — zawołał — Basiu! Ty mi śmierć rychłą zwiastujesz! Ty mi moje życie wyrzucasz! To ona!...

W tej chwili ukazał się Radziwiłł i pospieszył bezprzytomnego ratować. Księżna znięszana samą nie wiedziała co począć. Król drżał ze strachu i płakał, na krzyk jego zbiegli się Mniszech i słudzy.

— Widmo, mara! — wołał August — co to jest? To Barbara!

— To księżna Sołomerecka — odezwał się marszałek — która do W. K. Mości z prośbą o sprawiedliwość przychodzi.

— Kto? — zapytał August — jaka księżna?

Radziwiłł powtórzył. Uspokojony król, ciągle jednak płacząc — wlepił oczy w stojącą na progu kobietę.

— Tak, tak, przypominam sobie — szepnął. — Na dworze królowy matki, była tego nazwiska, młoda, podobna do Basi osoba. To wy?

Tak, ja to, Najjaśniejszy Panie — ze łzami odpowiedziała księżna — dziś wdowa, odarta ze wszystkiego, dziś matka pozbawiona dziecięcia, prześladowana, uciesniona, wyglądająca sprawiedliwości od was. Miłościwy królu. Sprawiedliwości dla mego dziecka!

— Przypominam sobie, przypominam — rzekł król z widocznym wzruszeniem. — Gdzież syn wasz?

— Prześladowana, ukryć go, rozłaczyć się z nim musiałam. Śmierć moją rozgłoszono na Rusi, majątności brat zagarnął, sprawiedliwości wyglądam. Miłościwy królu, ratuj mnie!

August upadł na kolana wdowie podnieść się kazał, posadził ją obok siebie, wpatrując się w jej twarz bladą, i trzymając ją za rękę, płakał.

Wspomnienia jakieś stare tłumem spadały mu na piersi. przyponinał sobie ukochaną Barbarę, krótkie szczęście swoje i zgon jej okropny; żal ciągle zagrzebywany w sercu z nową odżył siłą.

Obraz to był pełen smutku: schorzały i wycieńczony król, blada kobieta, z tyłu Radziwiłł ponuro patrzący na służbę, która z rozmaitemi uczuciami poglądała na przybyłą księżną.

Podkomorzy Mniszech patrzył szydersko na Radziwiłła, jakby mu wyrzucał, że tę kobietę wprowadził do króla.

— Wzruszenie — szepnął z cicha Radziwiłłowi — może króla o nową przyprawić chorobę. Po cości tu tę kobietę przywiedli?

— Mości podkomorzy — odparł dumnie marszałek litewski — nie potrzebuję nikomu zdawać rachunku z moich czynności, oprócz Boga i królowi. Mniszech zagryzł usta i odszedł zagniewany.

Król tymczasem wypytywał zwolna Sołomerecką, i przywoławszy pisarzy rozkazał im napisać list z przykazaniem wprowadzenia jej razem z synem do dóbr do niej należących. Ale list ten z powodu, że pieczęci nie było pod ręką, wygotowanym być nie mógł.

— Ja go odbiorę — rzekł Radziwiłł — jeżeli W. K. Mość pozwoli?

— Tak, wy go odbierzecie — odpowiedział król — i opiekujecie się tą panią, tak podobną do naszej nigdy nieodżałowanej małżonki.

Gdy marszałek dał znak do odejścia, księżna rzuciła się do nóg królowi, dziękując mu za opiekę. August powstrzymał ją, mówiąc ze wzruszeniem:

— Niech się na was napatrzę jeszcze! To mi lepiej ze czasy przypomina! Ach! byłem i ja szczę-

śliwy, ale krótko. Jak wiatr zaszumiało i przeszło szczyście.

Przytomni dworzanie widocznie się tą sceną nieciepliwili. Mniszech kilkakrotnie przystępował i szeptał coś do ucha królowi. Chwilę to jeszcze potrwało, a August wpadł w tak głębokie zamyślenie, w zadumę tak czarną, że nie zważał, jak książę marszałek i księżna pożegnawszy go wyszli.

Nazajutrz rano księżna co tylko wstała z łoża, gdy jej oznajmiono przybycie dworzanina księcia marszałka, który jej przyniósł list z pieczęcią królewską.

W godzinę później pojazd księżny toczył się po przemokłej drodze z Knyszyna ku Rusi wiodącej. Księżna uspokojona i uszczęśliwiona nadzieją ujrzenia wkrótce ukochanego Stasia, spieszyła do Krakowa.

Właśnie w czasie panowania Zygmunta Augusta poczęła się silnie rozszerzać po kraju owa nowa nauka, którą ojcowie nasi reformacją zwali. Apostołowie tej nowej wiary byli to ludzie, ani nauką zbałamuceni, ani nadużyciami nekani, ale po prostu chęciwi nowości, zepsuci, więc zawsze nowych swobód pragnący, budujący swoje znaczenie i wielkość chwilową na odszczepieństwie.

Jednym z pierwszych w Polsce i najniebezpieczniejszym może apostołem nowej wiary, i zapewne nie bez wpływu na Zygmunta Augusta, do którego łatwy miał przystęp, był człowiek zepsuty, chęciwy bogactw i swobody, namiętny i chytry, na dworze królowy Bony do wszelkich intryg wprawiony, Włoch, mnich Franciszkanin, Franciszek Lismanin. W początku sprawiał on obowiązek spowiednika przy królowej matce, a spowiedź tej kobiety, której ręce trucizną były splamione, była może dla człowieka niepewnego charakteru pierwszym szczyblem.

ziewiary. Lismanin z początku na księgach wydanych w Wittemberdze, Lipsku i Bazylei uczył się od nowej nauki, i wielu ludzi płochych i niespokojnych przybiegało do niego, chcąc się dowiedzieć, co to jest ta nowość, która światem wstrząsać zaczynała.

Zawsze chwiejnego i słabego charakteru król Zygmunt nie karał dość ostro ludzi, pomawianych o rozszerzanie niebezpiecznych zasad, a nawet całe to postępowanie ówczesne zdaje się świadczyć o tem, że Radziwiłłowie pierwsi, apostołowie reformy, wpili także w króla tę pobłażliwość dla nowowierców. Szczęściem wszystko co otaczało króla, zanadto było katolicyzmem, aby się odważyć mógł wyraźnie objawiać myśl swoją. Ale przyjęte dedykacye listy Henryka Bullingera i Kalwina, odpowiedź królewska dana internuncyuszowi Lipomanowi, wyjazd jego do zboru w Wilnie, dowodzą tajemnej sympatii króla dla reformy. To też reformatorowie, coraz się śmieliej urządzając i istnienie swe legalizując, odważyli się szkołę w samym Krakowie założyć, pomimo protestu duchowych katolickich. Potem kupili wielki dom murowany przy ul. święto Jańskiej, zwany „Brogiem“ i w nim prawie otwarcie nabożeństwa odprawiać zaczęli w r. 1571.

Był to dzień ósmego grudnia w którym kościół katolicki obchodzi święto Niepokalanego Poczęcia Panny Maryi. Protestanci dnia tego, nie dla święta, które odrzucali, ale widocznie z jakiegoś innego powodu, zbierali się licznie do Brogu.

Z ciemnego przejścia schody wiodły na górę; w wielka sala, której okna wychodziły na ulicę, służyła za miejsce modlitwy. W jednym jej końcu znajdował się stół, sukniem pokryty, na nim krucyfiks z dwiema świecami, ozdób i obrazów żadnych, na nagich ścianach kilka napisów z piśmna św. zawierających

główne teksty, któremi źle je zrozumiawszy, reformatorowie podpierali swą naukę. Sala ta pełna była ludzi różnego stanu płci obojęd. Kilkanaście znakomitszych osób było na przodzie, jakby dowodzić chcieli, że nowa wiara ma w wyższych klasach społeczeństwa opiekę i współzucie.

Stary, siwy z krótko przyszczyżonym włosiem wysokiego wzrostu, ogorzałej twarzy, od której dziwnie siwe odbijały włosy, czarno ubrany mężczyzna, mówił do zgromadzonych, słuchających w uroczystem milczeniu. W mowie jego wylewała się cała nienawiść do katolicyzmu; życie zakonne, to życie tak wielkie i święte, było wyszydzane i oplwane z odrażającym bezwstydem.

Mówcą tym był Lismanin, który po śmierci królowy Bony, wciągnawszy kilku jeszcze za sobą słabych towarzyszków zakonników, zrzucił suknię mniszą, przyłączył się do nowej wiary i wyjechał do Genewy, gdzie przez wiele lat pozostawał i teraz pod nazwiskiem Bergera do Polski powrócił.

Po odśpiewanych psalmach i pieśniach, z których się składa całe nabożeństwo protestantów, ludzie zebrani rozchodzić się poczęli. Znaczniejsi pozostali jeszcze, aby na osobności pomówić z nowo przybyłym z zagranicy reformatorem.

W sklepionój, niewielkiej izdebce, przytykającej do domu modlitwy, siedział teraz predykant w szerokiem krześle, koło niego siedzieli, stali znakomitsi nowowiercy polscy, Ossoliński, Myszkowski, Filipowski, Lasocki, Stadnicki, Zborowscy i inni.

Z cicha rozpytywali oni pastora o postęp reformacyi za granicą, o panujących, którzy w opiekę swą wzięli nową wiarę, o znakomitszych uczonych, piśmiami swemi ją rozszerzających.

Na wszystkie te pytania tak zwany Berger odpowiadał żywo, z wielką przytomnością i zapalem.

W tem przystąpił do niego Myzkowski i wskazując ręką na wysokiego, poważnej postawy, surowego oblicza mężczyznę, rzekł:

— Oto właśnie nowy wyznawca prawdziwej wiary.

Po surowem obliczu, czarnym zarostie i dumnym spojrzeniu nowoprzybyłego, znać było, że nie był zwykły się hamować, nie cierpiał uległości, uporu w jego pod niczyją wolą nie łamał.

Gdy się to dzieje w zborze, dzwony kościołów wzywają lud wierny na nabożeństwo w ten dzień poświęcony czci Maryi, téj najpotężniejszej Orędowniczki naszej.

W kościele Panny Maryi brzmia organy, kadził płynnie strugą niebieską, lud ławki i wszystkie miejsca zalega, ksiądz wyszedł przed ołtarz.

Za księdzem z zakrystyi wychodzi siedmiu chłopów, w białych niewinności sukienkach. Każdy z nich trzyma w ręku gałąź zieloną, utkana świeczkami zapalonymi. Organy ucichły, nastroiły się do porowania, a młodzi świeżymi głosy zanucili pieśń: Jako róża między kolącym głodem itd.

Miedzy żakami śpiewającymi był też Maciek, śpiewając pieśń czy ronił na blade lica, bo przyszło mu na myśl wszystko co przecierpiał w życiu, jak cień stała mu przed oczyma jakaś postać goli-ta, którą nazywał matką, i westchnął do królowy boskiej, aby mu matkę przywróciła.

Prawie w téj samej chwili, gdy westchnienie dziecka leciało ku niebu, kobieta w czerni przeciskała się przez tłum zgromadzony, ku wielkiemu ołtarzowi. W towarzyszkach, widocznie sługi, wiodły ją i ułatwiły przejście; obiedwie podżyłe niewiasty. Tu pani, Leona Sołomerecka, matka sieroty — żaka, blada zawsze, piękna jeszcze, padła niedaleko miejsca, gdzie siedmiu wybranych chłopców niosących gałęzie, śpiewało pieśń o Matce Boskiej.

Nagle oczy jęj zapłonęły, gdy spojrzała na najmłodszego i silną ręką chwytając jedną ze służ za nią stojących, znaną nam już Agatę, zawołała stłumionym głosem:

— To on! to on!

— Tak to on pani — odparła służa. — Ale na Boga niewydajcie się! Dzisiaj jeszcze mieć go będziecie, ale teraz przy ludziach, w kościele...

— O bądź spokojna! Serce tylko matki zabilem na jego widok... teraz modlić się będę.

I płacząc schyliła głowę do modlitwy.

Skończyło się nabożeństwo. Żacy naprzód udali się do drzwi i tam stanawszy w swoich białych sukienkach, z gałęzmi w ręku, zbierali jałmużnę.

Wychodząc księżna spotkała się z synem, który uśmiechając się łagodnie rękę ku niej wyciągnął i powtórzył słowa przez żaków używane:

— Grosz dla żaczeków!

Lzy napełniły oczy matki wstrzymać się dłużej nie mogła, rzuciła się ku niemu i zawołała z głośnym płaczem:

Mój syn, mój syn!

Nikt nie pojmował co to znaczyć miało, tłum otoczył matkę i syna do koła.

— Co to jest? co to jest? — pytano tłumnie.

— To twoja matka! zawołała Agata do sieroty. On rzucił gałąź i zawiesił jęj się na szyi.

— Matko! matko! Królowa niebieska oddała mi matkę! modlitwy moje wysłuchane!

— Chodźmy! chodźmy! — przerwała w uścisku księżna — ty ze mną! Już cię nigdy nie opuszczę! Dzielić będę twoje niebezpieczeństwa, nie nam zacięć nasz wróg nie uczyni!

I rozstąpiły się ciekawe tłumy, a księżna uprowadzając syna, siadła z nim do czekającej nań ko-

ła i wraz z dwoma kobietami służebnemi. pojechała do swego mieszkania.

Biedna, tak ciężko prześladowana księżna uszczęśliwiona była wielec z odzyskania syna, który dzięki listowi królewskiemu, uznany niejako, zapewnioną mając przyszłość, zasłaniany opieką króla, lepszego nadal mógł się spodziewać losu. Ale się nieboga myliła! Książę Krzysztof, który ją zaliczał do umarłych, dowiedziawszy się o jej życiu i o jej bytności u króla w Knyszynie, puścił natychmiast zajęte majętności, oddając je bez sprzeczki. Ale czytając w liście tym imię syna odezwał się dziko:

— Jej, nie jemu: To obca krew. nieprawe dziecko! Zdusić je potrzeba dla sławy naszej, dla zmycia tej szkaradnej plamy! Gdzież są dowody tego małżeństwa, gdzie metryki, gdzie świadkowie? To dziecko umrzeć musi!

I nie chciwość tylko powodowała księciem, ale to wysokie pojęcie swego rodu, ta duma, która zawsze mu przewodniczyła, życie ludzkie mało ważąc, gdzie chodziło o sławę rodziny.

Dumny, że był ostatnią latoroślą swego szczepu, na której ważyła wielka i świetna w jego przekonaniu przeszłość, sądził się obowiązany do opieki nad imieniem, i miał sobie za obowiązek zgładzić ze świata tego, którego za nieprawego uważał podrzutka.

Kilkakroć zasadzał się na życie tego dziecka, wcale się z tem nie tail, wyszukiwał je, wysłał szpiegów, opłacał zdrajców. A gdy go z podziwieniem pytano, jak można życie ludzkie tak mało cenić? odpowiadał z gorzkim uśmiechem:

— Niech to spadnie na moje sumienie, niech krew ta na mojej zawisnie głowie, bylebym od podrzutka był wolnym.

Jakoż zaraz po liście królewskim, zaniósł książę

powszechnym wówczas u nas zwyczajem manifest do akt przeciwko dziecku. Potem udał się do Krakowa, oczekując tam zapowiedzianego przybycia króla, aby sprawę tę rozpocząć na nowo.

W ów dzień świąteczny, około wieczora przybył do księżny pan Czuryłło, dawny sługa domu książąt Sołomereckich, i z miną przerażoną rzekł po serdecznem jój powitaniu:

— Wasza Książęca Mość wiesz o przybyciu księcia Krzysztofa do Krakowa?

Sołomerecka pobladła i zapytała drżącym głosem:

— On tutaj! tutaj! Pierwszy raz więc spotykamy się w życiu! tak blisko.

— Książę od dni kilku bawi w Krakowie — mówił dalej stary szlachcic — dziś go widziano w zborze, bo przysłał podobno do nowowierców. On tu podaremnie nie przybył!

Zapewne! — odpowiedziała księżna. — Dobrze się stało, że tu razem jesteśmy. Potrzeba to raz skończyć. Jutro pojedę do niego.

— Wy pani! — zawołał z większym jeszcze przerażeniem Czuryłło.

— Ja! — rzekła dumnie powstając kobieta — niech wiem co mnie czeka — czego on chce odemnie. Gdzie on mieszka?

— Nie wiem — odparł zafrasowany Czuryłło.

— Proszę was, dowiedźcie się. Jutro, nie dalej jak jutro, muszę się z nim widzieć koniecznie.

— Czy liczyć na to, Miłościwa Księżno, że go przekonacie, iż żelazną jego wolę złamać potraficie?

— Nie liczę na nic! Chcę go widzieć, chcę mu raz spojrzeć w oczy i spytać, dla czego mnie prześladuje. I ja mam także wolę mojego rodu, żelazną, niezłamaną. Kobieta jestem, a cierpiałam i walczyłam jak mężczyzna.

Pan Czuryłło pod długich, daremnych przedstawieniach odszedł wreszcie. Nie trudno mu było dowiedzieć się o mieszkaniu księcia. Krzysztof Solomerecki nie miał ukrywać się powodu.

Nazajutrz księżna w swym wdowim ubiorze zasłone się kazała sama jedna do mieszkania stryjecznego brata.

Słudzy jej wierni, a na ich czele Czuryłło, lękając się o panią, wcześniój zasadzili się pod rozmaitymi pozorami do koła domu księcia i stali zbrojni w bliskości.

Solomerecki, stojąc o stoł oparty z wejrzeniem pogardliwym i pełnem dumy przyjął przybywającą bratową stryjeczną.

Przeszedłszy próg księżna, na widok tego człowieka, który jej zatrwał życie, uczuwszy mimowolne drżenie, odrzuciła zasłonę i śmiało wpatrując się w niego, zapytała:

— Znasz mnie Wasza Książęca Mose?

— Nie — odparł zimno książę.

— Jestem żoną stryjecznego brata waszego — rzekła księżna — i przyszedłam Was zapytać, czego chcecie ode mnie? rychło mnie i syna mego zabić każecie?

Brwi księcia Krzysztoła zmarszczyły się dziko, usta zadrżały, spojrzał dumnie i hamując się, odpowiedział:

— Rad jestem pani siostrze. Śmierci waszej nie pragnę; za bratową Was nie uznaję. Niech i dziecko Wasze żyje, byleby imienia ojców naszych nie brało bezprawnie. Wyrzeczcie się śmiesznych pretensyi, a zaręczam Wam, że tego dziecięcia prześladować nie będę.

— Wy to zowiecie śmiesznością! — zawołała z oburzeniem wdowa, — Dziecię to, przysięgam, jest synem stryjecznego brata Waszego.

— Przysięga nie dla mnie nie znaczy. Dajcie mi dowody... oczyśćcie dziecko z pozoru nieprawości a wówczas je uznam.

Księżna milczała zmieszana.

— Tak, dajcie mi dowody! Gdzie świadkowie mniemanego małżeństwa? gdzie świadectwo ślubu? gdzie dowody, że to dziecię brata mojego?

— Ja Wam przysięgam! innych dowodów teraz w ręku nie mam. Ale sądzę, że przysięga Solomereckiej warta świstka papieru. Ale Wasza dostojność książęca nie ma czem mitry swojej wyłocić. Wy pragniecie majątku mojego.

— Będę go miał, księżno, po Was. poczekam.

— Ani po mnie, ani nigdy — zawołała z zapamiętaniem Solomerecka. — Ze zbójcą, który napada na drodze, targuję się o życie, Tatarowi dajemy okup. Chcecie bym Wam zapłaciła za życie mojego syna? Co chcecie za uznanie go?

Solomerecki targal w ręku kobierzec, o który się opierał i milczał.

— Oddam wam połowę moich majątkości za życie dziecka.

— Oddajcie mi całe, a nie uznam go — odparł dumnie książę.

— To ostatnie słowo wasze? — zapytała wdowa.

— Ostatnie! posłuchajcie mnie — nie chcę Was brać podstępem. Dziecko to prześladować, gonić za niem, starać się będę je zgubić. Nie obrońcie go przedemną, nie wyknpicie niczem. To ostatnia moja obietnica. Majętkości Wasze przejdą na mnie.

To powiedziawszy książę, odwrócił się i zostawiając bratową w rozpacz, wyszedł z pokoju.

Widząc, że napróżno byłoby starać się pokonać lub wzruszyć tego zacieklego wroga, Solomerecka

wyszła, płacząc, z jego pomieszczenia. U drzwi na kurytarzu stał żebrak, odziany w łachmany zgarbiony, choć jeszcze nie stary i wyciągał ku niej rękę.

— Za dusze zmarłych! — wyjęknął.

Ona spojrzała nań i rzuciła mu pieniądze.
mówiąc:

— Módl się i za biednych żyjących.

Ubogi przyjął jałmużnę, pokłonił się i odpowiedział:

— I za biednych jeńców chrześcijańskich w niewoli u niewiernych.

Księżna na to odwróciła się znowu i spojrzała na niego.

— Będę się modlił na ich intencją, bo sam byłem w niewoli:

Wdowa podała mu drugą jałmużnę.

Jak się zowiesz? — spytała.

— Jak — nie pamięć! Przez lat kilkanaście przykuty do łańcucha, obsypywany razami, pod biczem niewiernych, zapomniałem rodzinną ziemię, języka i własnego nazwiska.

— Kilkanaście lat! — powtórzyła mimowolnie wdowa. — A dawno wróciłeś?

— Nie dawno. Ucieklszy, przywlokłem się tutaj.

To mówiąc, dziwnem spojrzeniem mierzył odchodzącą, ruszył się za nią powoli, a gdy kolasa odwrót odjeżdżała, on spiesząc co siłą, starał się dojrzeć, gdzie się zatrzyma.

Obejrzawszy dom, zasiadł naprzeciw w narożniku ulicy i wsparty na kiju, smutnie w okno spoglądał.

Zastraszona prośbami stryjecznego brata, księżna nie wiedziała na razie co począć z sobą i synem, gdy nadszedł w samą porę pan Czuryłło. Przywiązany do rodziny, z którą jego ojciec i dziad węzłami

nawet dalekiego pokrewieństwa połączeni byli. stary szlachcie myślał tylko o tem, jakby księżnie, którą za panią swoją uważał, skutecznie dopomódz. Wziął się więc natychmiast do śledzenia kroków, związków, stosunków przyjaźni i prawie myśli księcia Sołomereckiego. Latwo mu było zaznajomić się z dworzanami jego i ująć ich sobie. Od nich to najprzód dowiedział się, że ich pan jest ponętym przyjacielem Zborowskich. Bracia Zborowcy, synowie Marcina, niepoślednie mieli w kraju znaczenie. W-zysey, oprócz najstarszego Andrzeja, przyjęli byli nową wiarę. Zborowscy od dawna w nieprzyjaźni żyli z Janem Firlejem, wojewodą krakowskim, marszałkiem koronnym, a w tym właśnie czasie, gdy Firlej województwo krakowskie przed Piotrem Zborowskim otrzymał, poprzysięgli mu zemstę. Ta okoliczność podała myśl panny Czuryłły udania się o pomoc do Firleja. Przedłożył plan ten swój księżnie, a że rodzina Sołomereckich żyła od dawna w stosunkach przyjacielskich z Firlejami, wdowa przyjęła tę radę z wdzięcznością. Pan Czuryłło napominał ją przysięgą, aby gdy się zobaczy z Firlejem nie zapomnieć powiedzieć mu o przyjaźni Zborowskich z księciem. Szlachcie nie mylił się. Gdy nazajutrz księżna w swym wdowim stroju ukazała się na pokojach Firleja, dumny pan wysłuchał wszystkich jej karg i zażaleń zimno, ale gdy księżna nadmienila, że jej prześladowca ufa w pomoc Zborowskich, rzekł wojewoda:

— Wasza Książęca Mość możesz liczyć na mnie. Syna Waszego biorę do siebie, zobaczymy, czy książę Krzysztof i panowie Zborowscy tknąć go się ośmielą.

— Brat mój stryjeczny odważy się na wszystko — odpowiedziała księżna. — Czyż nie przeknpywał sług, nie nasłał zbójców, nie usiłował różnymi sposobami pochwyć biednego dziecka? Czyż teraz nie sprzeciwia się woli królewskiej?

— Zobaczmy — zawołał Firléj, pokręcając szpakowatego wasa — kto tu w Krakowie pan, czy Zborowscy, czy ja. Syn Waszój Książęcej Mości zostanie u mnie, nie wstyd mu tak jak innym zacząć od mojego dworu; nauczy się, przetrze między ludźmi. a tu go nie dosięgnie ręka nieprzyjaciół. Wy pozostaniecie w Krakowie?

— Jakkolwiek pilno mi na Ruś, będę oczekiwała na króla.

Firléj potrząsł smutnie głową.

— Muszę też wysłać do Rzymu — mówiła dalej księżna — dla odzyskania dowodów mojego małżeństwa, przez wyprawionego tam księdza Hausnera przed laty kilkunastu.

— Słyszałem coś o tym księdzu. Wszak on nie powrócił do kraju?

— Wiesz Wasza Ks. Mość co o jego losie? — żywo zapytała księżna.

— Wiem tylko tyle, że na nieszczęście ksiądz Hausner z Rzymu wybrał się do Grecyi, chciał zwiedzić Azyą i niejsca święte, jakom i ja za młodych lat uczynił.

Cóż mu się stało?

— W. Książęca Mość nie rozpaczaj, ale wiemy to na pewno — mówił Firléj — że ksiądz ten będąc na morzu, dostał się w ręce tureckich korsarzy. Najprzód pozostawał na galarach tureckich, a potem sprzedano go Tatarom, jako zrzecznego tłumacza, gdzie żył dość długo. Pisywał do kraju, prosząc o wykup, ale nikt nie pomyślał nawet o tem. Pewnie zmarł w niewoli.

— A z nim ostatnia moja nadzieja! — krzyknęła z płaczem księżna, załamując ręce.

— Posłuchajcie mnie jeszcze — mówił Firléj.

W Rzymie ksiądz Hausner zrobił bez wątpienia o nim poleceno. Tam więc ślad pozostał téj sprawy

można z akt konsystorza wydobyć dowody waszego małżeństwa.

Sądziecie, panie wojewodo!

Tak sędzę i napiszę o tem do Kardynała Commendoniego. Jemu chodzi bardzo o odwrócenie nas od nowowierców, więc chętnie to dla niego uczyni.

Sołomerecka w gorących wyrazach oświadczyła wdzięczność Firlejowi i nazajutrz Stanisław iunia Sołomerecki, młode szesnastoletnie pachole, udał się z matką do pałacu wojewody Firleja. Stary pan popatrzał mu w oczy, pogłaskał go po głowie i kazawszy przywołać starszego kancelarza, pana Wierzbietę, rzekł do niego:

Oto jest powinowaty nasz, książę Sołomerecki, którego matka w opiekę moją oddaje i mnie go poleca. Jest to dziecko przeładowane miłością rodzinną związaną przyjaźnią ze Zborovskimi. Wobec niego nie spuszczaj, bo mogliby mu i tu coś złego uczynić. Polecam go wam, niech się uczy w kancelaryi naszej.

Na tem skończyło się przedstawienie młodzieńcy Młotek Skowronek, a teraz Stanisław książę Sołomerecki, zaprowadzony był do kancelaryi, gdzie całe grono pisarków, po większej części z rodziny Schobekskich pochodzących, powitało go jako kolegę.

Tu upłynęło biednemu przeładowanemu dotychczas chłopcu kilka miesięcy spokojnie i błogo, aż do czasu, kiedy zły święta Bożego narodzenia. W dawnych czasach, gdy jeszcze duch wiary silniej przejmował ludzi, święta te daleko nroczyszej i z większym zapalem religijnym obchodzone bywały. W miastach zwłaszcza, uważano za obowiązek znajdować się do tym obchodzić nocnym, zwanym mszą pasterką, podczas której winnąc sobie świąt, rozbiegano się dopiero do domów, aby począć do ranka. Dworzani —

Wojewody Firleja, udali się także razem z pa-
nią wojewodzina, która do kościoła Panny Maryi
szła. We wszystkich oknach na ulicach Krakowa
gorzały światła, nikt prócz innowierców nie zasnął,
dzwony odzywały się z wszystkich wież kościelnych.
Konno, pieszo, w paradnych kolasach, z pochodniami
lub z latarkami spieszo na nabożeństwo. U drzwi
kościelnych dźwięczały pieśni dziadowskie i wołania
o jałmużnę.

Od północy wiatr dął ostry — spiczaste dachy
kamienic białły śniegiem, który skrzypiał pod no-
gami idących, a chorągiewki obracając się trzeszczały
na wieżach i dachach.

Tłumy żaków z pieśniami przebiegały ulice.
Jeszcze cisnęło się ich do kościoła. Poczęła
się maza pasterka. Na Gloria z chórów kościelnych
odzywały się wedle zwyczaju ówczesnego głosy za-
ków, na-ladując śpiew psalmów ryczenie zwierząt
i dudy fujary chłopskie.

Obzęd ten, jak wiele innych, dziś zarzucony,
znaczyć miał, że się narodził Pan, którego wsclki
tuch chwali, któremu wół i osiel pierwsz służyli,
któremu pastużkowie poklonili się przed innymi.
Możby to może śmiesznem się zdalo, i wów-
czas zdziwili już z tego reformowani, ale lud ro-
miał z waczenie tych głosów i modlił się tem goręcej. We
wszystkich zakonnych kościołach wy-tawione były
obrazki wyobrażające dzieciątko Jezus w żłobie, Jo-
zef i Maryą a przy nich brzmiała owa sama pieśń
o prostopoty i wdzięku.

„W żłobie leży,
Któż pobieży itd.“

Potem zaczęli wyciągać szopkę z kościoła i weso-
ło ją obnosili ją po ulicach. Pomimo mroź-
nej nocy, dworzanie pana Firleja, a pomiędzy

nimi i nasz mały książę Stanisław. zatrzymali się wśród ulicy, gdzie żacy stanęli z szopką pod kamienicą. Gdy tak wszyscy przypatrywali się z zajęciem przedstawieniom jasełkowym, na drugiej stronie ulicy, dwóch ludzi wspina się na palce i wskazując na Solomereckiego, szepta:

— To on! gdy w tłumie odechodzić będzie, zarzucić mu płaszcz na głowę, zatulić głowę i za mną!

— Dobrze, ale jeśli by dworzanie...

— Ciemno w ulicy. uważajcie tylko dobrze, który, i szybko z nim.

Dworzanie Firleja, a Staś pomiędzy nimi, szli po skończonem nabożeństwie ku domowi. Noc była ciemna i mroźna, od śniegu tylko nieco widna. Na zawrocie ulicy niedaleko kościoła żebrak, któregośmy widzieli goniącego za księżną, wyjeżdżającą od brata odezwał się do nich ponuro:

— Miejcie się na baczności!

Dworzanie wojewody chcieli go zatrzymać i wypytać, ale on rzucił się w ciemne przejście i znikł im z oczu.

W tejże chwili prawie czterech ludzi pijanych, śpiewających głośno, zbliżyło się ku nim. Każdy z nich w inną stronę się zataczał. Nikt nie posadzał ich, śmiejąc się tylko z opileców. Gdy w tem jeden z tych czterech spojrzawszy z pod czapki nasuniętej na czoło na idących dworzan, w mgnieniu oka Solomereckiemu oponczę swoją zarzucił na głowę i świsnął. Inni poskoczyli ku niemu i zanim dworzanie dobyli szabel, już czterej napastnicy schwycili księcia i unieśli.

Nagle jak w wodę wpadli i znikli. Ulica w tem miejscu na krzyż się rozchodziła, a że pełno było na niej ludzi powracających z kościołów, a noc ciemna, nie podobna było rozeznąć gdzie się napastnicy podział. Dworzanie Firleja rozbiegli się w różne

strony szukając ich, lecz nadaremnie, nie odkryć nie mogli.

VII.

Nazajutrz rozpacz była w domu księżny, a wojewoda wrzał srogim gniewem. Ponieważ nikogo innego, jak księcia Krzysztofa Solomereckiego posądzając nie było można o porwanie chłopca, wojewoda rozstał się z ludźmi, rozstawił ludzi obok jego mieszkania i kazał kroki jego śledzić. Nie tyle mu może chodziło o chłopca, co o obrazę własną i o skarcenieuchwalca, który śmiał się porwać na dworzanina jego. Księżna zalewając się łzami, wołała:

— Dziecko moje! synu mój! O Boże, ratuj je. Uchuj się nademną i nad niem!

! zaraz z pałacu wojewody kazała się wieść do księcia Solomereckiego. Książę Krzysztof siedział w kreśle ponury.

— Dziecię moje! syn mój! — zawołała wpadając matka.

— Czego chcecie? nie rozumiem Was. Mością Książę? — rzekł zimno Solomerecki.

— Dziecko moje, porwane przez Was, gdzie jest? Oddajcie mi je!

— Powtarzam, że Was nie rozumiem.

— Dziś w nocy pochwyciono mego syna, książę, zlituj się nademną! wróć mi go!

— Kto pochwycił Waszego syna? — z wyraźną spokojnością książę, zrywając się, zapytał. — Pochwyciono go, powiadacie?

— O, nie udawajcie na Boga! Nie chcecie matkę oszukać.

— Nie oszukiwałem w życiu nikogo — dumnie odpowiedział Solomerecki — nie wiem gdzie jest syn Wasz; gdybym go porwał i gdybym wiedział o nim, nie byłbym tego przed Wami, jak nie taję, że chcę go w ręku i że mu gotuję zgubę.

— Weźcie wszystko, książę! weźcie, i oddajcie mi syna!

Ależ ja nie wiem, gdzie jest ten podrzutek! zawołał niecierpliwie książę. — To nowy wybieg Wasz — dodał po chwili namysłu. — Umieściliście go u wojewody dla tego, że Zborowscy są przyjacielami moimi, teraz samiście go pewno odesłali, kiedy nie wiem, aby go ukryć przedemną i upominacie się o niego u mnie! Dajcie mi pokój!

Wszystko, co popiądam, oddam za syna!

Wszystko, co Waszmość popiądasz, nie może pokryć hańby imieniu naszemu wyrządzonej. Ale ja nie wiem, gdzie on jest.

— Słuchajcie — z zapalem macierzyńskiej niepokoju o dziecko zawołała księżna. — Chcieliście abym się dla niego wyrzekła mienia, majątku, abym Wam zapewniła posiadłość naszego rodu. Spokojnie wszystko, uznana się zhańbioną, dziecko moje nie powiem, siebie bezecną, oddam co mam, ale po to nie chce mi syna!

Książę zamyslił się na chwilę, a potem powiedział:

Wybornie!.. wiedząc, że go Wam wcale nie mogę, sami go gdzieś znów ukrywając, nie chcecie...

Książę, ja płacząc, leż udawać nie można.

Dla czego nie?

— Oddaj mi syna, oddaj mi Stanisława.

— Wybornie udajecie — rzekł Sołomerecz i nie poruszony — ale mnie to nie oszuka. Balisze nie byłbym go od Firleja nie pochwycił, co byłbym nie znalazł niechybnie, dla tego ukryliście go gdzieś. Ale ja go znajdę, ja go znajdę! — zakrzyczał.

Księżna nie wiedziała, co myśleć; o huczącymi rękami założonemi stała przed nim.

— Ja go znajdę! — powtórzył książę. — Możecie myśleć zapoznać mnie o porwanie dziecka? Niczego się nie lękam, Mości Książę, ani wojewody, ani Was, ani samego króla! Mnie tknąć nikt nie śmie. Niech mnie przekonają! Nieprzekonanego więc nie można. Wojewoda się nie odważy.

I podniósł pięść zaciśnioną.

— Ale któż o tem mówi? — zawołała Solomerecka — ja Was przyszedłam błagać, nie grozić Wam!...

— Powtarzam Wam — krzyknął popędliwie wywracając stół, stojący przed nim — Do stu tysięcy czartów, nie wiem, gdzie syn Wasz.

— Książę, to być nie może! Ktożby go mógł pochwycić.

— Nie wiem, nie wiem!

I pochwyciwszy za dzwonek, stojący na stole, dzwonił silnie. Słudzy wpadli tłumnie.

— Zawołac mi Niemira.

Drugimi drzwiami wszedł zielono ubrany mężczyzna w średnim wieku, intendent księcia i powiernik wszystkich spraw jego.

— Gdzie jest to dziecko? — spytał go książę. — Mów.

— Nie wiem, Mości Książę — rzekł przestraszony, Niemira.

— Kto je porwał? ty? twój? ten żyd? Mów, mów w prawdę, tu przy tej pani. Jeżeli go masz w ręku, to mów lepiej! mów...

— Prawda, Mości Książę — odbił się niesmiało Niemira — ja chciałem... to jest... starałem się spełnić polecenie Waszej Książęcej Mości, względem tego dziecka... ale...

— Ale nie błądź, mów mi prędko! — przerwał Solomerecki, zbliżając się ku niemu.

— O mowcie, na Boga, mowcie — dodała matka.

— Ja... ja... ja nie nie wiem.

— Twój go porwali dziś w nocy?

— Nie, Mości Książę, nie!

— Może ten żyd, cośmy go już dawniej przekupili, wiesz?

— Jaki żyd? — drżąc pochwyciła księżna.

— Nie, ja nie nie wiem o tem.

— Widzicie! widzicie! — rzekł książę Krzysztof, obracając się do bratowej, piniąc się ze złości. — My nie nie wiemy, wyście go sami ukryli, wy udajecie. Ale na Boga, nie ukryje on się przedemną, nie, nie!

I rzuciwszy srogie wejrzenie na księżnę Solomerecką, oddalił się z Niemirą. Gdy wyszli do drugiej komnaty, książę stał chwilę zamyślony, popatrzył w oczy dworzaninowi.

— Ty w istocie nie nie wiesz? — zapytał ciszęj.

— Nie, Mości Książę, pierwszy raz to słyszę.

— Ale ten żyd Hahngold, umówiony przez was dawniej, wiedział o tem, może chce się potargować, mając chłopca w ręku. Może on go porwać kazał?...

— Tego nie wiem, Mości Książę.

— Spiesz do niego. Jeżeli tam jest chłopiec, to go tam zostawie. Nikt inny nie mógł go porwać jeżeli to nie wymysł matki.

Niemira pobiegł do stajni, skoczył na konia i pojechał do mieszkania Hahngolda, lecz tam powiedziano mu, że żyd ten już przed tygodniem wyjechał w interesach handlu z Krakowa.

We łzach gorzkich przepędziła księżna Solomerecka całe święta Bożego Narodzenia, nie wychodząc już nigdzie tylko do kościoła, nie widując nikogo prócz p. Czuryłły i swoich domowników.

Wojewoda Firléj odwiedziwszy ją nazajutrz po jej bytności u księcia Krzysztofa, starał się wlać w nią otuchę, zapewniając, że odnajdzie jej syna

Ja! oż rozestął różnych szpiegów w okolicy Krakowa dla poszukiwania chłopca, posądzając o porwanie nie tylko ks. Sołomereckiego, ale i Zborowskich.

Tymczasem ubogi ów ze szczątkiem żelaznego łańcucha u ręki, który dostał jahużnę od księżnej, w czasie pierwszjej jej bytności u ks. Sołomereckiego i który w owęj nocy Bożego Narodzenia ostrzegł dworzan Firleja, aby się mieli na baczności, siadał teraz codziennie na progu kamienicy, w której mieszkała księżna.

Nazajtrz po porwaniu Stanisława ubogi siedział u progu jak zawsze. Słudzy już tak byli przywykli do niego, iż go nie spędzali.

Widział wyjeżdżającą i powracającą księżną, a gdy zalana łzami wstąpiła na ganek, zatrzymał ją, wyciągając rękę.

— W imię Matki Bożej.

— Módl się za dziecko moje.

— Bądźcie o niego spokojni — odrzekł ubogi.

Wczoraj...

— Ty wiesz co? — spytała żywo księżna.

— Byłem tam...

— Byłeś? Mów!

— Słyszałem zmawiających się...

— Kto oni?

— Jacys, jacys szlachta... Było ich czterech...

Przestrzegałem dworzan wojewody, ale to nic nie pomogło.

— Ci ludzie? Znasz ich może.

— Nie znam. Ale to nie byli ludzie księcia krzysztofa.

— Ty znasz księcia?

Ubogi spuścił głowę.

— Bóg czuwa nad uciśnionym! — rzekł. —

Bądźcie spokojni.

O! gdybym mogła!

— Strzeżcie się Czuryłły — szepnął bardzo cicho żebrak. — I on tam był wczoraj — dodał jakby zmuszając się z wyrazem boleści.

Księżna Sołomerecka stała zdziwiona, przerażona, nie pojmując, co to ostrzeżenie znaczyć mogło i po chwili zdumienia, nie pytając więcej, weszła do swego mieszkania.

Nie mogła ani na chwilę posądzać wskazanego starca, który już tyle dawał dowodów swego przywiązania.

Przestroga żebraka zdała się jej dziwną omyłką i zaraz posłała po pana Czuryłłę. Lecz nie było go w Krakowie, odjechał nie wiedzieć dokąd.

Księżna jak wszyscy nieszcześliwi, posądzająca i podejrzliwa, wpadła na myśl, że ów żebrak, którego od niejakiemu czasu tak często spotykała, był może szpiegiem ks. Krzysztofa i kazała go śledzić swym służącym i nie spuszczać go z oczu.

Dnie po dniach mijały, a rozesłani przez nią i przez wojewodę Pirleja szpiegujący żydkowie dowiedzieć się nie mogli nic więcej, tylko tyle, że w nocy wili Bożego Narodzenia pięciu ludzi ciemnonbranych wyjechało z Krakowa drogą ku Rusi. Jeden z nich w pośrodku jadący, wysmukły i średniego wzrostu, płakał i wrywać się zdawał milezającym towarzyszom, którzy nic mu złego nie robiąc, gwałtem prawie uprowadzali z miasta, dokąd on zdawał się chcieć powrócić.

VII.

Zwróćmy się teraz myślą wstecz o lat kilkanaście. Wówczas między Bractawiem a Wiunicą, nad skalistym brzegiem rzeki Bolu, stał mały zameczek na wzgórzu. Wał wysoki, opalisadowany otaczał go kręgiem; z jednej strony opływała rzeka, z drugiej woda fosy głęboko wyrzniętej.

Piękne są brzegi Bohu, bo gdzie wzgórek dozwoli wzrokiem sięgnąć dalej, to widać gaje brzozywe, łąki zielone, pola złociste, role czerwone, wioski w sadach ukryte, kopuły cerkwi wysmukłych, krzyże wiejskich cmentarzy i środkiem Boh jak wstęga, a gdzie nie gdzie zwierciadło stawów, błyszczące od promieni słonecznych.

Ale nie zawsze tu błogi panował spokój. Często wpadający z pod Oczakowa lub Budziaku Tatarzy przebiegli tu płomieniem po polach, po wsiach, stratali zielone łąki i dymem pożarów zakopeli Podole, a gdzie były wesołe osady, sterczały potem czarne słupy ogorzałych chałup i osmolone drzew szkielety.

Zameczek, o którym mowa, nigdy jeszcze nie był w mocy tatarskiej, zimą broniły go strome wały, latami wodą polewane i jak szkło śliskie, w lecie było to płynąca rzeka i kilka działek ku bramom zwróconych. Nicopodał, pod skrzydłami zamku, rozlegała się wioska

W tym to ustroniu stryj opiekun, bratanek swojej sierotę Annę, którą za syna swego wydać pragnął, przetrzymał lat kilka w srogiem zamknięciu. Biedna sierota, z starszą od siebie Agatką, dziewczyną wiejską do usług dworskich wziętą, ochmistrzynią Janową i kilku sługami, najpiękniejszy czas życia smutnie spędzała.

Kilka razy jak burza przeszli mimo zamku Tatarzy, lecz się nie odważyli oblegać go, bo zameczek, jakkolwiek mały, był obronny i dobrze w kule i prochy opotrzony. Potem znów głucha cisza zapanowała. Przerzywana tylko wieczorem głosem dzwonów, przychodzącym po rosie z Winnicy, gwarem wioski niedalekiej, świegotem ptactwa na błotach i szumem wiatru na polach hasającego.

Jak wszystkie kobiety ówczesne, Anna nie wiele

się czytała. Uczono ją przysć, żyć, nieco czytać i pisać i zajmować się gospodarstwem.

W cieniu kilku drzew za zameczkiem rosły cychi, na ławie darninowój, w towarzystwie Janowej lub Agatki, czasem sama, sierota Anna całe dnie przesiadywała z kądzielą lub krosnami, na których różnobarwne wyszywała kwiaty. A kiedy nad tym szerokim krajobrazem tak urozmaiconym i pięknym zaszumiała burza, lubiła modłać się, patrzeć na porzające chmury po nad ciemniejącą ziemią.

Tak pewnego wieczora Anna siedząc zamyslowiona na wałach zamkowych, pod rozłożystą jabłonią, usłyszała śpiew jakiś. Głos był obcy, nieznany, miękki szedł z dołu, z nad rzeki. Anna słuchała z upodobaniem ruskiej dumki, śpiewanej głosem męzkim, świeżym i miłym, jaki po raz pierwszy o jej obiedzie uszy. Oczywiście szukała śpiewaka.

Na Boliu płynął łódką młody chłopak i podniósłszy oczy na zamek, zastanowił się nieco; w łódce obok niego leżała rusznica. Pływak był młody, przystojny, ubrany jak szlachta się nosiła, przez plecy miał przewieszoną torbę myśliwską, wiośło w ręku na głowie kapelusz słomiany.

Z dziecięcą ciekawością Anna pobiegła na brzoza wałów, aby go lepiej zobaczyć.

On się uklonił. Zapewne nie wiedział do kogo mówił, bo poufale odezwał się do niej:

— Podśluchaliście mnie.

— Przepraszam, śpiewajcie. Ja tak lubię wasze piosenki.

— Najlepiej bo śpiewać, kiedy nikt nie słucha. Człek myśląc, że go słuchają, wstydzi się, myli.

— Kto wy jesteście? z kąd? pierwszy raz was tu widzę...

Nieznajomy chłopak wskazał ręką na gaj z ciemniejącą na wzgórzach.

— To moja sloboda albo raczej ojcowska, ale uciec daleko, ja tu sam. A wy tutejsi? — dodał.

— Tutejsza — odpowiedziała rumieniąc się Anna.

Ubiór księżniczki wcale jej stanu nie okazywał; skromna sukienka mogła zarówno okrywać sługę zamkową. Młody szlachcic nie wiedział może nawet, kto mieszkał na zamku, pokłonił się uśmiechając, ruszył wiosłem i długo oglądając się po za siebie, odpłynął dalej.

Nazajutrz wieczorem po rosie znowu brzmiały dumki młodego myśliwca, który płynął z futoru swego na kaczki i skierowawszy pod zamek, zatrzymał się i spojrzał, Anna stała na wale. Przemówili do siebie słów kilka:

— Do zobaczenia! — rzekł chłopak, płynąc dalej.

Tak codzień to dłużej stała łódka na Bohu, dłużej stała księżniczka oparta o palisadę wału i patrzyła za nim długo, długo, aż gdzieś zniknął w trzcinie. On nie pytał kto ona, ona nie myślała nawet, kto on taki? I tak się pokochali miłością czystą jak iza i niewinną. Anna kochała go jak pierwszą w świecie rozrywkę. On kochał ją, jak piękne, cenne zjawisko, o którego pochodzenie pytać nie miał, aby mu nie znikło.

Aż wreszcie dowiedział się, że nieznamoma dziewczyna księżniczką była i potem się już nie pokazał więcej na łódce na Bohu. Anna stęskniona daremnie go oczekiwała.

Po niejakiem czasie ujrzała go w zamku. Trwoga była od Tatarów; sąsiedzi zbiegli się tu wszyscy na pomoc. I znowu, znowu się tu zbliżyli, dawna odżyła miłość. On, wdzięczny, że go wybrała, przysięgał jej życie poświęcić, ona ze łzami w oczach mówiła mu cicho:

— Opiekun żeni mnie z swoim bratem stryjeczynym, nie mogę być twój.

— Tyś księżniczka, tyś bogata, jamy tylko prosty szlachcic, wiem, że moją nie będziesz. Ale gdy pójdziesz za męża, ja rzucę się na wojnę i dam się zabić Tatarom.

I płakali tak eicho i mówili tak skrycie, że uikl lez nie widział i słów nie podsluchiwał.

Nareszcie jednego poranku zaturkotało w bramie książę z synem przyjechał, przywoząc z sobą księdza, Anna w dni kilka była zaślubioną. Z wychodzącymi nad Dniestr za Tatarami jej mężem, przyłączył się na wyprawę nieznamomy sąsiad z za Bohu. Męża przywieziono śmiertelnie ugodzonego strzałą; tamten nie wrócił więc.

I nie było o nim słyhać i nie śmiała pytać o niego. Może go zapomniła!

Któż to wiedzieć może! Z tylu łzami mogła spływać pamiątka wiosenna dni kilku weselszych! Czegoż ludzie nie zapominają?

VIII.

Zakochany młodzieniec z nad Bohu porzucił slobodę i kilkunastu ludzi zebrawszy, przyłączył się jako ochotnik do garstki, która na czele mając Sołomereckiego, pusiła się w pogoń za Tatarami. uprowadzającymi ogromne hupy z Podola. Sołomerecki napróżno usiłując ich dognać z tej strony Dniestru, przeprawił się niedaleko Chocimia i pusił ku Budziakowi za ordą tatarską.

Tatarzy zmykali ku Bialogrodowi, trzymając się brzegów rzeki i gęstych zarośli, rozciągających się nad Dniestrem. Codzień pogoń była bliżej, ale dopędzić żwawo uciekających nie mogła.

Nareszcie niedaleko Tyhinu (Bendern) wieczorem dnia wcześnej wiosny, ujrzano tylne straże Tatarów. ale nie pora była stoczyć z nimi bitwę. Noc nad-

chodziła, deszcz lał, ziemia stepowa oślizgła. koniom i ludziom bieg utrudniała.

Tatarzy zdawali się być znużeni i nie obracając się ku pogoni, padli obozem z tamtej strony miasteczka Tyhinu z jeńcami razem. Jeńcy i łup jeszcze nie byli podzieleni, odzyskać ich można było.

Solomerecki wysłał część swoich, aby puściwszy się stepem, okrążyli nocą stanowisko i z tamtej strony od Białogrodu razem z nim uderzyli. Sam chciał zając półkolem Tatarów tak, aby ich do Dniestru przyprzeć. Ale na to siły mu nie wystarczyły; więcj jednak ufając waleczności niż liczbie, od zamiaru nie odstąpił, licząc na to, że Tatarowie znużeni, że ogromne trzody, kupy jeńców, wozy pełne łupów, nie dozwolą im nawet myśleć o walce. Ale się mylił. Orda uciekała dla tego tylko, aby garść pogoni za sobą wprowadzić w nieznany kraj, otoczyć i wyciąć. Liczba Tatarów daleko była większą niż się spodziewano.

Gdy to poznali Polacy, postrach przejął ich nie-mały. Postanowili oszańcować się okół starodawnego wału, który jako tako z jednej strony ich zasłaniał, z drugiej były pławnie dniestrowe, któremi chyłkiem wśród zalewów znajomych przesuwali się Tatarzy.

Jakkolwiek na prędce rozbity obozik, otoczony był jednak wedle ówczesnego zwyczaju wozami. połączone mi łańcuchami.

Często Tatarowie, nieznający tego sposobu obrony. w kilka tysięcy rady dać nie mogli taborowi takiemu z kilkuset ludzi złożonemu.

I tu tak się stało z początku. Orda przed silnym ogniem za wozami ukrytych żołnierzy ustępowała kilkakrotnie. Solomerecki zagrzewał swoich, aby się trzymali, ale widząc się otoczonym zewsząd, myślał już przerywać się z powrotem. Niektórzy

radzili Dniestr wplaw przebyć i uciekać, ale ogromnie rozlane wody wiosenne stały temu na przeszkodzie. Zamknięci w obozie swoim Polacy odstrzelali się Tatarom, którzy krążąc nieustannie w okół, zasypywali strzałami obłożonych i posuwali się coraz bliżej, usiłując zapalić wozy taboru.

Położenie garstki téj było rozpaczliwe. Długo trzymać się tak dla braku żywności nie mogli. Potrzeba było koniecznie przejść przebojem, ale od Dniestru nawet chimara taborów osaczała ich wiankiem ruchomym.

Na straszny ten widok garści ludzi wpadających w zasadzkę, walczącej z tłumem kilkakroć liczniejszym, wszedł dzień jasny, pogodny, wietrzny. Zamknięci w obozie Polacy widzieli jak na dłoni Tatarów, nadbiegających od Tyhimu coraz liczniej, potraszających tykami przygotowanemi, puszczałających strzały i wywijających nożami.

Na srogich twarzach dziczy wyrażała się piekielna radość, mieli bowiem w ręku nieprzyjaciela, pod same wozy rzucając żagwie zapalone, ale po wczorajszej słońce wilgoć broniła od ostatniej klęski pożaru.

W téj ostateczności Polacy wznieśli się do bohaterkiej odwagi. Widząc niechybną zgnębę swoją, postanowili nie poddać się do ostatniego. Urządzono kolej do obrony wozów i wszyscy rzucili się na skraj taboru. Dopuszczając do siebie napastników jak najbliżej, za każdym wystrzałem kładli trupem całe szereg Tatarów.

Z piekielnym wrzaskiem i zajadłością, odzierając swych trupów, wywłócząc pobite konie z pod ognia, rzucali się nowi napastnicy Tymczasem w polskim obozie, brzmiała jakby na mągowisko wrogom, stała się niezapomniana jeszcze „Boga Rodzico.”

O! jakim prochem, ranni od strzał, zawałami

blotem Polacy, jedni nabijali rusznice, drudzy celowali i strzelali. Jednym z najwaleczniejszych był ów młody szlachcic z nad Bohu. Stojąc na wozie obok Sołomereckiego, z oczyma krwią zabiegłemi, z twarzą od prochu zeczerniałą, brał broń nabijaną ciągle przez dwóch pacholków, mierzył i strzelał.

Nagle kilka strzał tatarskich padło w tę stronę i Sołomerecki padł śmiertelnie raniony. Ten widok zmieszał wszystkich przez chwilę. Ale młody Nadbożanin podniósł się krzycząc:

— Mścijmy się za niego! Do rusznice! Bić Tatarów!

Cały dzień bezskutecznie zdobywali Tatarzy tabor z wściekłą zajądlnością. Ogień nie ustawał, padali gęsto i nie dokazać nie mogli. Naówczas biorąc się na sposób, przyciągnęli pod tabor pobranych w nocy jeńców i poucinawszy im głowy, poczęli nimi rzucać do obozu. Ale widok tego okrucieństwa rozszedł jeszcze Polaków.

Nad wieczorem Tatarzy namyśliwszy się, przestali napaści i niedaleko otaczając garstkę osaczoną, pokładli się spocząć, tak jednak, że ich strzały z rusznice dosięgnąć nie mogły.

Sołomerecki i wielu innych śmiertelnie poranieni, obóz w nieładzie i zamieszaniu, znaczna część prochu wyszafowana; wszystko więc zniewalało do wycieczki na przebój. Tatarzy nigdy się tego po całodziennęj walce niespodziewali. Polacy miarkując, w której stronie oblegający byli najsłabsi i najmniej liczni, osiodławszy konie wypoczęte, podłożyli ogień pod zostawione rzeczy swoje i wozy i wypadli na śpiących Tatarów.

W jednéj chwili powstało straszne zamieszanie. Cała siła ordy rzuciła się na koń i zaparła drogę garstce rycerzy. Polacy strzelając i tnąc przebijali się przez tłumy. Deszcz lać począł, ziemia ślizga

usuwała się z pod kopyt koni. Jedni padali roztratowani w oka mgnieniu, drugich stryczkami z koni chwytali Tatarzy i zsadzali, wlokąc i chłoscząc, inni ugodzeni strzałami upadali ranni; reszta skupiona ciasno odstrzeliwując się, parła naprzód. Za niemi obóz płonął pożarem, a reszta tłuszczy poskoczywszy, ratowała z płomieni co mogła jeszcze pochwycić, roznosząc szeroko po stepie rozżarzone głownie i szczątki pożogi.

Nie wielka garść Polaków zdołała wyniknąć się Tatarom. Ścigana przez nią do Chocimia prawie, unosząc Sołomereckiego, dostała się przecież na Podole. Z wesołej pogoni idącej w nadziei odbicia jeńców, wróciła kupka rannych, zwalczona bojem, głodem, znużeniem, oplakująca niepowetowane straty najdzielniejszych braci.

Nasz Nadbożanin kilku strzałami ranny, pochwycony był przez Tatara, który nań pętlę zarzucił i wpoł uduszonego pod nogi swojego konia pociągnął.

Nigdy prawie Tatar nie zabijał bezbronnego jeńca, a to z téj ważnój przyczyny, że jeńiec czy okupiony przez swoich, czy sprzedany do Turcyi, stanowił zawsze pewny majątek dla Tatara. Tej to okoliczności winien był życie nasz Nadbożanin, który wkrótce straciwszy z oczu swoich, skrepowany i przywiązany do siodła, za panem nowym przywłókł się do obozu po za Tyhin.

Straszny był widok tego obozu. W stepie równym i mogiłami tylko gdzie nie gdzie pokrytym, na lewo ku Dniestrowi, leżała orda białogrodzka, powracająca z łupieży podolskiej. Konie ogromnemi stadami pasły się do koła, tu i owdzie rozstawione były wozy, napełnione wszelkiego rodzaju łupem. Na nich widać było ubiory pańskie i chłopskie, bogate sprzęty, połamane krzyże i kielichy kościelne, zbroje, futra, makaty, płótna.

Stada wołów, owów i koni, znużone na ziemi, szukając strawy i wody, a podnieść się nie mając siły. Dalej leżeli, stali, siedzieli powiązane tył mając ręce, nieszczęśliwi jeńcy, wszelkiego stanu, płci i wieku. Niektórzy nadzy prawie, inni poranieni straszliwie, inni obłąkani nieszczęściem i bezprzytomni. A wszyscy oczekujący z rozpaczą najstraszliwszj chwili... podziału łupów.

Wśród tego okropnego obrazu, siwowłosa stary ksiądz z krzyżem z dwóch białych kijków zrobionym, włachmanie na sinych od bicia plecach, klęczący i pocieszający swoich sprawiedliwością Bożą i nagrodami wiecznymi, jakieś wzniosłe i wzruszające sprawiał wrażenie.

Lecz oto chwila stanowcza chwila podziału jenców.

Murza dowodzący wyprawie, usiadł przed rozbitym namiotem, wszyscy znoszą, zwożą, spędzają, co kto złupił. Ludzie, bydło, rzeczy, ściskają się w jedną kupę. Złoto, srebro i suknie, konie, bydło i ludzi, zarówno niemilosiernie dzieli milezący starzec, dowódzca wyprawy.

Temu ojciec, syn drugiemu, tu matka, tam córka, tu mąż, a tam żona.

Każdy pędzi własność swą przed sobą i napró-
mo jedni ku drugimi wyciągają ręce, wołają, płaczą; padają pod razami Tatarów. Krzyki bestyalskiej radości, wołanie o pomoc, która przyjść nie może, jęki gwałconych, ryczenie chłostanych mieszają się ze wiewem Tatarów i tętentem koni.

Ksiądz stary głośno, wyraźnie odmawia modlitwy. Dwa razy Tatar zatulił mu usta nderzeniem krwawem, a kapłan nie przestał. Murza powoli podjął huk z ziemi, kazał się ludziom rozstąpić i patrząc na przyż, który starzec tulił do piersi, wymierzył do serca i jedną strzałą położył go trupem.

Szczęśliwy był młody Nadbożanin, że nie miał

nikogo swego, ani nawet znajomego w tym tłumie. Schwycony, skrepowany, pociągnięty, poszedł obojętnie na tę katownię, sądząc, że ją znieść odważnie. Atoli okropny widok, głosy wołające o pomoc do Boga znanym językiem, głosy kobiet bezsilnych, wyrwających się daremnie brutalnym napaściom dziczy, oszalały go prawie. Padł na ziemię, zasłaniając oczy, zaciskając uszy, wzywając śmierci.

Wtem nagle uczuł się schwyconym za powróż, który go krepował, stawiony przeciw Murzy, odpędzony na bok, nie spostrzegł nawet komu się dostał w niewolę.

Około wieczora dnia następnego, po dopełnionym straszliwym podziale, dzicz ruszyła w dalszą drogę. Bieżem z miejsca ruszony Nadbożanin, powstał i przytroczony do siodła, poszedł za nowym panem. Z nim razem była niemłoda niewiasta, dziecko kilkoletnie i starzec bezsilny.

Tatarzyn, który ich prowadził, doskonale rozporządzał wszystkiem, kilka sztuk bydła pędził przed sobą, dwa konie luźne szły obok niego; na jednym siedziała niewiasta, na drugim starzec i dziecko; wszystkie trzy szkapy obwieszone były rozmaitego rodzaju łupami.

Nadbożanin dostał się jednemu z Jedysseniców koczujących w Bałkanach.

Mimowolnie spojrzął w twarz swemu panu. Był to już człowiek nie młody, brzydkiego wyrazu twarzy, wklęsłych małych oczu, żółtej cery, krótko ostrzyżonych włosów. Ubiór jego nie różnił się niczem od innych Tatarów; na plecach miał łuk i kołczan, nóż za pasem.

Nadbożanin uważał, że drudzy byli dlań prawie z uszanowaniem. Jedysseniec zboczywszy nad Dniestr, posuwał się drogą po nad pławniami, po stromych górach, szukając brodu do przebycia rzeki.

Ale wiosenne wody tak były wezbrane, że go znaleźć nie mógł. Jechali więc dalej przez łąki, zarośla, strumienie, wreszcie stanęli dla wypoczynku na wzgórzu, z którego prześliczny rozpościerał się widok na Dniestr i okolice z tamtej strony rzeki.

Tatarzyn w milczeniu zsiadł z konia, popędził biczem jeńców, puścił bydło na paszę, wydobył z pod siodła kawał pieczeni końskiej i jeść począł. Niewolnicy dostali każdy po kawałku suchego, twardego i spleśniałego chleba.

Wkrótce nadeszło tam więcej Tatarów z jeńcami na popas. Na popasie dowiedział się Nadbożanin od drugich niewolników, że Tatarzyn, któremu przypadł w niewolę, nie był Tatarem, ale Tatarką. Jeden z jeńców, który rozumiał trochę język tej dzicy, słyszał rozmawiających o niej Jedysseńców. Opowiadali oni, że ta kobieta wyszła na wyprawę z mężem i synem i straciła obudwóch przy obleżeniu obozu polskiego i mówili, że ona zapewne swoich więźniów przez zemstę w strasznych pozabija mękach.

Nadbożanin zadrżał ze wstydu na myśl, że go prowadzi kobieta i postanowił wyrzucić się jej z rąk koniecznie.

Gdy więc popasający Tatarzy udali się w dalszą drogę, a kobieta gniewnie oglądała się jeszcze na Dniestr, czyby go przebyć nie można, Nadbożanin szepnął starcowi:

— Uciekajmy! To kobieta!

— Nie chcę, gdzieżbym uciekł? — odpowiedział starzec.

Tatarka zabroniła im mówić do siebie, chłозяząc biczem obu. Młody szlachcic począł powoli wicy krępujące go z tyłu rozrywać; zmrok zapadał. Rozdłubawszy węzeł, jeniec począł zwalniać kroku, jak gdyby ze znużenia, przypadać i jęczeć. Tatarka

chwała go nożem i w chwili gdy zajadłe nim uderzała, Nadbożanin pochwycił ją za rękę, wyrwał żelazo i skoczywszy z tyłu na konia, porwał ją za gardło. Wrzasnęła straszliwie; młodzieniec bojąc się, aby jadący naprzód Tatarzy jej nie usłyszeli, ścisnął ją za szyję tak, że ducha wyzionęła, a zrzuciwszy trupa, puścił się z powrotem.

— Nieszczęście! nieszczęście! — wolali kobieta i starzec, załamując ręce. — Schwycą nas i karać będą jak zabójców, myśleć będą, żeśmy mu pomagali!

Nadbożanin po chwili namysłu zsiadł z konia, porwał sakwy z mąką, przymocowane do siodła i ukrył je w zaroślach.

Zaledwie zniknął, gdy Tatarzy nadbiegli i pochwycili przestraszonych. Ale zamiast mścić się, radzi byli ze śmierci kobiety, którą czarownicą nazywali; jeden wziął starca i dziecko, drugi kobietę. Inni worki z łupami, nie pytając nawet z jakiej przyczyny Tatarka tak nagle skonała, pojechali dalej ku Białogrodowi, szukając brodu lub czolna.

Młody Nadbożanin mniemał się ocalonym i postanowił iść powoli brzegiem rzeki na Wołoszczyznę. Stała pierwszą noc przedzierał się przez gąszcze winy. Ale świeże rany, głód, zimno i znużenie poczynęły mu strasznie dokuczać. Coraz gorzej, a gorzej się czując, ku południu rozciągnął się na pagórku, zamknął oczy i oczekiwał śmierci.

Gorączka silna odjęła mu całkiem przytomność, dziwne obrazy przesuwały mu się przed oczyma. Widział się w łódce na Bohu, a na wale zamkowym śmiejącą się do niego Annę, potem znów widział siebie w swej slobodzie odludnej na progu domostwa, gdy stada koni, owiec i bydła wracają w wieczór wiosenny z paszą do domu, rozmawiając we ołó z czeladką.

Sny ciemne i sny jasne następowały jedne po

drugich, gdy naga... -linie mio-
ny i targany. Otworzył oczy i ujrzał kilku Tata-
rów, którzy polewając go zimną wodą tarali się go
cucić. Osłabionego i trawionego straszną gorączką,
władzili na wóz wiozący łupy, przywiązali powrozami
do sterczących boków ogromnego wozu, „arba“ tam
wanego, zaprzężonego w parę bawołów i pojechali
z wolna ku Białogrodowi.

Nazajutrz oczom biednego niewolnika zabłysnął
rozciągający się w lewo Liman dniestrowy (jezioro
łone). Zdała nad Limanem, ogromnym jak morze.
ukazały się szare mury Białogrodu, ściany zamku,
minare, nad nim sterczący półksiężyc meczetu;
drzewa gdzie nie gdzie rozsypane do koła, liche domki
lezione i kamienne, trzeina pokryte.

Wieczór był pogodny, jasny, wiosenny; świat
budził do życia, powiew łagodnego wiatru zwi-
stował cieplejszą porę, step zieleniał, kwitnął. W mil-
czeniu posuwała się arba ku miastu. Tatarzy jadący
na zmęczonych koniach, spoglądali to na Liman
w stronę krymu, to na wieże starego zameczyska.
Tam przybyli do miasta; drudzy z jeńcem skierowali
do zamku.

Szaro-białawe mury bram, przedstawiały się
oczom schorzonego więźnia. Przebywszy sklepiony
chód ciemny, most minawszy, na prawo łaznie ba-
now Akermannu, arba wioząca Nadbożanina, wto-
czyła się w pierwszy podwórzec i stanęła prawie
samiych wrót naprzeciwko meczetu. Z wierzchołka
galeryi muezin (sługa meczetu, czyli świątyni ture-
ckiej) krzyczał piskliwie wiersze Alkoranu. Niewol-
nik upadł omdlały na siedzenie arby.

IX.

Gdy oczy otworzył Nadbożanin, znalazł się
w ciemnym i zawartym miejscu. W około siebie

widział wysokie mury, w górze przecięte wązkim okienkiem. Ręka jedna go bolała, bo był za nią przykuty do słupa podpierającego sklepienie wieży, na której spódzie wespół z wielu innymi więźniami leżał. Chrapanie uśpionych, jęki rannych lub skatowanych, mieszały się z jednostajnym szumem wiatru, z plaskaniem wody Limanu, uderzającej o mury więzienia.

Kilkadzieśnięć jeńców jak on na łańcuchy do słupa przykuty, leżało na kamiennęj podłodze trzcina suchą potrząśniętęj. Wszyscy ci nieszczęśliwi byli tak znękani, że żaden z nich nie miał wejrzeina i politowania dla nowoprzybyłego towarzysza. Ci co usnąć mogli, pomimo chłodu, wilgoci, zaduchu spali, ci którym sen nie przyszedł na powieki, jęczeli z rozpaczą lub milczeli w odrętwieniu.

Żaden się nie pochylił, ku budzącemu się z bolesnem westchnieniem nowo przybyłemu jeńcowi. Towarzysz tuż obok niego leżący, popchnął go sobą tylko i obróciwszy głowę, spojrzał obojętnie mówiąc półgłosem:

— Żyje!

— Bodajbym nie żył! — ozwał się młody jeńiec

— Każdy z nas to codzień powiada — odparł układając się do snu niewolnik — ale cóż to pomoże?

Powoli rozwidniać się zaczynało na dnie wieży i okropny widok uderzył w oczy Nadbożanina. Około tego słupa, słusznie słupem męczarni nazywanego leżeli, siedzieli, drżeli pokurczeni biedni jeńcy, przykuci jedni za nogi, drudzy za ręce, z ranami nie opatrzonemi, nie zawiązanemi, gnijącemi ohydnie. Gdzie nie gdzie leżeli konający, obok trupy napół zgniłe. O! była to straszliwa męczarnia. To pobratymstwo choroby i zdrowia, śmierci i życia, zgnilizny z młodością u jednego słupa, w około którego na długość tylko łańcucha wlec się mogli jeńcy. Raz

Na dzień przynoszono im tylko nieco suchego chleba i wody. I tak żyli tu bez żadnej pociechy i nadziei, bo w wieku XVI rzadko i to tylko najznakomitszych jeńców wykupywano z niewoli. Na jednych składała się Rzeczpospolita, drugich wykupywali krewni, ale trudności w wyszukiwaniu jeńców, w dostaniu się na Tatarszczyznę, wszystkich zresztą odstręczały. Rzadki był bardzo przykład ucieczki z niewoli.

Jeńcy zabrani przez Tatarów, szli potem na sprzedaż do Turcyi, na galary sułtańskie lub w nadziei okupu gnili w Białogrodzkich wieżach.

Wszyscy prawie towarzysze Nadbożanina u słupa męczarni, byli szlachtą podolską i wołyńską, zabrani w wyprawach ordy, jedni dawniej, drudzy świeżo przykuci.

Nieco łżejszy los był tych niewolników, których Aga turecki, dowodzący w Białogrodzie, do własnych posług używał. Ale takich było kilku tylko szczęśliwych, a choć ich za najmniejsze przewinienia okładano razami, nie skarżyli się, bo mogli przynajmniej oddychać świeżem powietrzem i niebo nad głowami świat Boży widzieli.

Użyci wewnątrz zamku nosili wodę ze źródła nad Limanem, łamali kamienie opodal miasta na nowe budowle, palili w łaźni u wejścia zamku się znajdującej itp.

Nadbożanin wyszedłszy z ran swych i niemocy, jako jeden z najmłodszych i najsilniejszych, wybrany został w miejsce zmarłego woziwody i okuty w kajdany, wyprowadzony z wieży. Los ten tak ciężki wydał mu się szczęściem!

Zobaczył znowu świat, mógł chodzić, mógł być z nimi jeden choć chwilowo. Na noc bowiem zamknięto ich kilkunastu razem w loch ciągnący się pod murami zamkowym i wychodzący oknem zakratowa-

nem na Liman, na którego przeciwległym brzegu
biełała mizerna wioszczyna Chadży-Dere zwana.

Ruch podwórców zamkowych, widok wojs-
dworu, lepsza nieco strawa i nadzieja ucieczki oży-
wiły jeńców. Całe noce bezsenne on i jego towarzy-
sze naradzali się tylko, jak uciekać i dokąd? Do-
koła ziemia tatarska klinem do morza przytykająca
z jednej strony Liman i Dniestr, a za niemi step
zowiący się jeszcze Polskim za Zygmunta I, ale
syna jego już powolnie przez Tatarów na koczowisko
zajęty i owładany. W tę stronę ucieczka była naj-
łatwiejsza, a jednak z tysiącem trudności połączona.
Bo najpierw jak przebyć Liman? Na łódce, z ką-
dziej dostać? W dzień każda łódka postrzeżona być
może od Białogrodu do Chadży-Dere, a nocą zabłądzić
łatwo, lub wiatrem pognanym być ku morzu.

Wreszcie nadeszła zima ciężka, morze na kilka-
naście staj od brzegów zamarzło i Liman Dniestrowy
Tym sposobem ucieczka w polowie ułatwiona.

Możliwość wymknienia się rozżarzyła niewolni-
ków; jedni z poznajdywanych gwoździ i kawałków
żelaza, usiłowali porobić narzędzia do rozbicia kajdan.
drudzy zbierali ukradkiem żywność i chowali w lo-
chu, gdzie ich na noc zamykano, inni przyspasabiali
ze skór odzienia dla uchronienia się od zimna. Krata
wychodzącego na Liman okna była, jak we wszy-
stkich budowlach tureckich drewniana, łatwo więc
było ją silną rozbić ręką.

Nie zastanawiając się nad tem co wyniknąć
może, wszyscy pięciu zamknięci w lochu, umówili
się następnej nocy uciekać. Księżycą nie było, niebo
chmurne śnieżycą groziło. Dość wcześnie, aby mieć
czas w ciągu nocy przebyć Liman i ukryć się gdzie
wśród kamieniołomów na przeciwległym brzegu, wy-
brali się z drżeniem i biciem serca biedni jeńcy.
Łańcuchy jedni drugim porozbijali kamieniami, nie

bez bólu i okaleczenia. Ale czem tam ból i rany, gdy chodzi o oswobodzenie się z tak strasznej niewoli. Zaledwie wybrawszy się na lód i ubiegłszy kilka kroków od twierdzy, której ciemne mury groźnie sterczały nad głowami zbiegów, spostrzegli w zyscy, że trudniej będzie przebyć Liman niż im się zdało.

Śnieg snehry na lód upadłszy, pozwiewany w zapy, leżał tak grubo, że w nim po pas brnąć musieli. Tu i owdzie znów lód wskutek zmiany powietrza popękał i czerniały otwory szerokie, w których woda szumiała. Zapędziwszy się, z samego początku dwóch utonęło. Reszta szła naprzód ostrożniej obiegając wodę, to brnąć w zaspach śniegu, to zślizgując się po lodach. Wtem zerwała się zawierucha śnieżna i zakryła całkiem drogę uciekającym. Dwaj upadli znużeni na środku Limanu. Nadbożanin sam tylko pozostał. Nie było czasu litować się i ratować, spieszył więc ciągle naprzód, pozostawiając towarzyszków ich smutnemu losowi.

Już miało świtać, gdy po niesłychanych trudach, znużony śmiertelnie, nasz młody szlachcic stanął na ziemi. Ale nie mógł odpoczywać, trzeba mu było najpierw wyszukać bezpiecznego schronienia.

Jakoż wkrótce odkrył wśród skał pieczarę, zapyaną na pół śniegiem. Świeże tylko zwierzęcych stop ślady zdradzały przejście wilka. Wszedłszy do tej pieczary pełnej kości zwierzęcych, Nadbożanin upadł znużony i wkrótce sen błogi skleiwszy jego powieki, uniósł go w szczęśliwsze czasy i miłe mu przedstawiając obrazy.

Wtem dwoje zwierzęcych oczu zapalało nad głową śpiącego, on się przebudził. To był wilk, który w swój jamie zastawszy człowieka najeżył się, naróżył, niepewny czy rzucić się na niego, czy uciekać. Nadbożanin ledwo miał czas porwać się na

nogi, gdy płowy napastnik już go pochwycił. Walka w tej ciasnej jamie była okropna i zjadła. Nareszcie schwyciwszy wilka za gardło, pomimo szamotania jego, Nadbożanin udusił go i sam upadł na niego wysiłony do ostatka.

Leżał tak długo i gdy się ocknął z tego snu letargicznego, dzień był już jasny i mroź silny. Wieś turecka Hadzi-Dere, była tak blisko, że głosy mieszkańców i ryk bydła dochodziły do niego. Usiadł i pokrzepiwszy się kawałkiem chleba, który miał w kieszeni, postanowił czekać tu do nocy aby potem w dalszą puścić się drogę. Nad wieczorem usłyszał z przestrachem, zbliżające się kroki ludzkie i szczekanie psa. Głosy swawolne, wesole dzieciinne dochodziły wyraźnie do uszu ukrytego zbiega. Wtem ujrzał łeb psa i oczy iskrzące w otworze jamy. Pomimo nawoływań dzieci pies uporczywie szczekał. Tatarzyn około lat dziesięciu, wpół nagi pomimo mrozu, zajrzał wewnątrz a ujrzawszy leżącego w jamie człowieka, pobiegł oznajmić to do wsi. Niezadowolony zbieg chciał uciekać, ale mu sił nie stało, nogi pod nim drżały, upadł na kamienie.

W mgnieniu oka ludzie ze wsi z biczami, z kijami, z powrozami nadbiegli, wyciągnęli go i popędzili wśród radosnych odgłosów dzieci do Chadzi-Dere. Nazajtrz sprzedany przez Turka, do którego pies należał, przytroczony do tatarskiego konia nasz Nadbożanin szedł stepem ku Bałcie, gdzie było nowego jego pana mieszkanie. Była to wioska tatarska, składająca się z samych namiotów, tak urządzonych, że mogły być na wóz włożone i przewożone z miejsca na miejsce.

Nadbożanin u nowego pana nieco łagodniej utrzymywany, karmiony tą samą strawą co jego poprzednik; obracał żarna, nosił wodę, dopełniał innych cięższych posług domowych. Właściciel czekał na dogodnej porze, aby go sprzedać.

To była dopiero pierwsza połowa życia niewoli Nadbożanina, który wkrótce potem sprzedany do Stambułu, ośm lat spędził na galerach sułtańskich. razem z wielu innymi współbraćmi.

Jednostajnie płynęło życie niewolnika, przykutego do ławki, robiącego wiosłem i mającego ciągle nad sobą bicz dozórce. Jedyne co życie jego nieco osładzało, było towarzystwo pochwyconego z Polski duchownego, przykutego do jednej z nim ławy. Ten duchowny zabrany przez zbójców morskich i sprzedany w Stambule, wysłany był na galery, choć sił nie miał po temu. Ksiądz ten zesłany tu był od Boga, aby umysły znękanych podniósł i ożywił pociechami religii. Niewolnik zdawał się nie czuć swę niewoli, tak mocno wierzył w drugie życie, w nagrodę po za grobem i wlewał to zaufanie w towarzyszków niedoli. Schorzały, blizki śmierci, dzielił czas wytchnienia na modlitwę i pobożne nauczanie.

Pięknęj i cichęj nocy księżycowęj galar płynął po morzu Marmora, gdy ksiądz upadł na wiosło swoje i z założonemi rękoma począł wołać:

— W ręce Twoje Panie...

Nadzorca spał, najbliższy księdza Nadbożanin rzucił się ku niemu. On obejrzawszy się do koła, rzekł słabym do towarzysza głosem:

— Bracie, zachowałem przy sobie papiery, ważne dla pewnej w Polsce rodziny. Umieram, ciało moje wrzucę w morze, weź te papiery i zachowaj je dobrze. Może szczęśliwy powrócisz kiedy do kraju. oddaj je komu służą... może kto inny...

Nie mógł dokończyć, bo nadeszła chwila konania głos mu zatamowała.

Nadbożanin zachował starannie powierzony mu zwój papierów.

X.

Znękany pracą i niewolą prędko łaniącą wszel-

nie sily młodości nasz młodzieniec, sądził już, że mu przeznaczono skończyć życie na obcej ziemi. Wtem niespodzianie puszczony został z galarni i sprzedany do Adryanopola, z kąd pojechał do Białogrodu z wysłanym tam na dowódcę Seraskierem.

Na widok miejsc bliższych już ojczyzny, żywiej serce jego zabiło. Niepomyślna pierwsza ucieczka nie zrażała go, zapragnął spróbować drugi raz, co mu się poprzednio nie udało.

Dziwnym trafem Seraskier ten został wkrótce wysłany na pogranicze do Bałty, aby tam był na nieustannej straży od Polski i zabrał ze sobą Nadbożanina, z którym się dość łagodnie obchodził.

To go zbliżyło jeszcze do ojczyzny. Z nowej siedziby mógł ją widzieć, mógł jej powietrzem oddychać. Gdy przebywszy puste stepy stanęli nad rzeczką Kodymą, Nadbożanin ujrzał swe ukochane Podole i zadrżał...

Zginąć lub wrócić do kraju — rzekł sobie w duchu.

Bałta była naówczas mizerną threeką wioszczyną, z tej strony Kodymy, u stóp gór leżącą. Znacznie później dopiero na tem pograniczu powstało miasteczko dzisiejsze.

Ale jednak ucieczka ztąd wiele przedstawiała trudności. W nocy pilnowano niewolników, w dzień miano ich ciągle pod ręką. Rozpacz zaczęła przemawiać biednego wygnanca. Jednej nocy, w pół nagi, bez przygotowania, spostrzegłszy możliwość wymknienia się, wyłamał drewnianą kratę okna, przełaził przez mur podwórza, rzucił się w rzekę i popłynął pędem w rodzinne strony. Wkrótce przebył wpław rzekę i biegł póki mu sił stało przez pola i lasy, ciągle się obawiając pogoni, a pierwszą wieś, którą znalazł, pierwszy krzyż cerkwi dojrzany wśród drzew

wienia, powitał padając na twarz i płacząc jak dziecko. Był na swojej ziemi! swobodny!

Piękne jest Podole! ale dla tego k o po kilkunastu latach wygnania, niewoli, złamany powraca do kraju, w którym się urodził, jeszcze piękniejszym się zdaje!

Jednak u ludzi nie znalazł zawsze wiary i politowania zbieg nieszczęśliwy. Jedni kiwali głowami słysząc jego opowiadanie o ucieczce z tureckiej osady, drudzy dość obojętnie ten wypadek przyjmowali; nikt mu o dawnych znajomych nie powiedzieć nie zdołał. Odziany przez litościwą starą wdowę, zaopatrzony trochę w żywność na drogę, pospieszył przez Tulczyn, lichą naówczas mieścinę, ku Braclawiu Winnicy,

Od dworu do dworu, od wioski do wioski, wlokąc się o kiju biedny Nadbożanin, przeszedł okolice Tulczyna, zobaczył stary Braclaw i zapłakał nad Bohem, który mu przypominał młodość. Nareszcie ujrzał zameczek Sołomereckich i po długiej z sobą walce stanął u wrót jego.

Nic a nic się tu nie zmieniło. tylko drzewa trochę podrosły, tylko mury się porysowały, tylko chmiel liziki gęściej spletał palisady, trawa bujniejsza rosła na wałach. Zdawało mu się, jakby wczoraj dopiero tutaj wyszedł.

Ale zameczek stał pusty, załoga w nim nieliczna. Spytał o księżnę, nikt mu o niej powiedzieć nie umiał; jedni mówili, że była w Krakowie, drudzy, że w Rusi. Poszedł spojrzeć na wały, na jabłoń rozłożystą, pod którą Anna stawiała, a potem z sercem rozdartem puścił się ku swojej slobodzie.

W gaju nieopodal od Bohn, na pagorku, stała sloboda szlachecka. I tu żadnej nie było zmiany. Spostrzegł wśród gęstych drzew swój domek biały z białym dachem, z otaczającą go pasieką, z przy-

tykającym doń ogrodem. Przez otwartą na pol furtkę, u której siedziała mała dziewczynka, wszedł na dziedziniec.

Otyły szlachcic w białej płótniance siedział przed domem na ławce i widząc nadchodzącego żebraka, zawołał groźnie:

— Czekać u wrót! nie wchodzić na próg domu.

— Jak to? — zawołał w rozpaczę biedny wygnaniec. — Czyż niema tu nikogo, coby poznał i powitał dawnego pana?

— Pana! he? — zawołał szlachcic, wstając — jak to pana? he, albo co?

— Piętnaście lat temu — ozwał się przybyły — poszliśmy na Tatarów z ks. Sołomereckim; księżę poległ, a ja ciężką przebyłem niewolę. A teraz za powrotem nawet jednej twarzy znajomej, jednej ręki przyjaznej, coby dłoń mą uścisnęła nie znajduję.

— Byłżebyś więc waćpan? — spytał szlachcic.

— Czy nie pamiętacie Czuryłły? — rzekł wygnaniec, zwracając się do nadbiegłych na widok obcego człowieka wieśniaków.

— Już to po trochu wszyscy sobie przypomniemy — odezwało się kilka głosów — ale zmieniło się Waszmość do niepoznania.

— A mój brat? — spytał Czuryłło.

— Umarł — odparł krótko szlachcic — i właśnie po nim ten kawałek ziemi kupilem.

Czuryłło zamyślił się gorzko. Szlachcic dodał po chwili milczenia:

— A jeżeli myślicie procesować się ze mną.

— O bądźcie spokojni — odparł Czuryłło — nie mam ani woli, ani sposobu do tego. Chciałem tylko zobaczyć słobodę moją i pójść dalej.

— Dokąd? — rzekł niespokojny.

— W świat, przed siebie.

Tymczasem żona szlachcica podala jeść i pić

nowoprzybytemu, a dowiedziawszy się kim jest poprosiła go, aby przenocował u nich.

Ale on podziękował, pożegnał się i poszedł do pasieki do starego Marcina, który go powitał, płacząc i ściskając za kolana. W nocy z pomocą pasiecznika wszedł do ogrodu, gdzie pod bocznemi krzakami, idąc niegdyś na wyprawę tatarską, zakopał był garnek i butelkę. W garnku nietknięte były pieniądze, w butelce zachowane papiery swoje odnalazł, a nagrodziwszy poczciwemu wieśniakowi, w dalszą puścił się drogę.

Dopytawszy się o Solomereckich, że ich na Rusi wołyńskiej szukać należało, udał się tam. Ale i tu księżnej nie było, słyszał tylko o prześladowaniu, jakiemu uległa i o jej wyjeździe do Krakowa. Poszedł więc i on do Krakowa.

Po drodze opowiadając się wszędzie jako jeniec powracający z niewoli tatarskiej, dość litościwie był podejmowanym.

Oprócz swoich papierów wydobytych na slobodzie, niósł także powierzone mu na galarze papiery owego księdza zmarłego, których nie miał czasu i ciekawości przepatrywać, zamierzając wywiedzieć się w Krakowie o rodzinę, dla której służyły. Przybywszy do Krakowa i opowiedziawszy się podług zwyczaju w gospodzie Bractwa Miłosierdzia, począł z okrucieństwem łańcucha na rękę ulice miasta przebiegać. Nie potrzebujemy dodawać, że żebrak spotkany przed domem księcia Krzysztofa przez Annę, potem koło jej domu przesiadający, był to młody Czuryłło. Była i druga osoba w Krakowie, do której ciągnęło go serce.

Stary Czuryłło, ojciec jego, obrał był sobie skromne mieszkanie w pobliżu kościoła, w którym samotnie czas pędził po stracie obudwóch synów. Towarzysze bowiem wyprawy Solomereckiego opowiadali,

że młody Bogdan Czuryło poległ w bitwie z Tatarami, mężnie się potykając, drugi syn, jak wiemy, umarł niedawno w slobodzie rodzinnej.

Gdy żebrak przyszedł do tego pomieszkania pana Czuryły nie było w domu. Podług zwyczaju modlił się w blizkim kościele. Bogdan usiadł na wschodach, oczekując nań.

Tak upłynęła przeszło godzina, gdy starzec z brwią namarszczoną powrócił do domu. Ujrawszy siedzącego żebraka wlepił wół oczy i dobywszy kaletki, pospieszył grosz rzucić.

— Wicie i ty ojcie niepoznajesz mnie! — zawołał przejęty boleścią Bogdan.

Siwe brwi namarszczyły się.

— Kto jesteś, czego chcesz odemnie? — zapytał starzec.

— Jestem synem twoim, 15 lat przejęczalem w niewoli tatarskiej i teraz cudem prawie z niej się wydobyłem.

Teraz dopiero przypatrzwszy mu się bliżej poznał go i ujął w objęcia. O! słodki był uścisk ojcowski dla wygnańca, co lat kilkanaście nie kosztował żadnego uścisku, nie słyszał słowa przyjazni i pociechy. Wnet stary usadowił syna i zajął się nim. Długie opowiadanie wypadków wyżej opisanych zajęło dnia resztę. Stary Czuryło płakał, rzucał się, kłął niewiernych, noc zastała ich jeszcze rozmawiających.

— Ojcie mój — zapytał wreszcie Bogdan — dla czego powiedz mi, należałeś do porwania syna księżny?

— Ja? — zawołał stary, niespokojnie marszcząc brwi. — Ja? kto ci to powiedział?

— Widziałem cię, nmawiającego się.

— Ani słowa o tem — rzekł starzec — późni się to wszystko wyjaśni.

I zwrócił rozmowę na inne tematy, ale resztę wieczora widocznie dręczył go niepokój.

Nazajutrz Bogdan zrzucił wreszcie odzienie żebraka. Skromne odzienie szlacheckie zastąpiło ła-
chmany.

Nowa odzież zmieniła go zupełnie, pomimo nie-
tarte ślady, jakie zostawia cierpienie i ciężka praca.
młody Czuryłło nkazał się w niej czem był: śre-
dniego wieku, ogorzały, z zapadłemi oczyma i poli-
czkami mężczyzną, postawy szlachetnej, miny trochę
dawniej.

— Czy ona pozna mnie teraz? — mówił do
siebie — czy pozna?

— Moje dziecko — rzekł stary, wdychając —
nie ma niewdzięczniejszej pamięci nad kobietą, nie-
wierniejszej nad księżką, nie spodziewaj się tego!

Ogorzałe lica oswobodzonego jeńca pobladyły, ale
nie nie rzekł na to.

XI.

W roku 1572 straszne powietrze morowe i głód
nawiedziły Wilno, stolicę litewską. Okropna ta klę-
-ka zostawiła po sobie długo niezatarte ślady i stra-
-zliwą jeszcze pamięć kary Bożej. Świetne Wilno
Augustowe, to miejsce zwane kuźnią jego rozkoszy.
Tyle sereu jego pamiętne, stało teraz puste, żałobą
zakryte.

W chłodny poranek zimowy pięciu podróżnych
konno zbliżyło się do Wilna. Wjeżdżając od Ostrój
Bramy, zatrzymani zostali przez straż naprzód, która
pod przewodnictwem burmistrza rozpatrzyła ich pa-
piery, dla dojścia, czy nie przybywali z miejsca za-
powietrzonego.

Chociaż Wilno zniszczone już było przez mór,
leżano się jeszcze powrotu tej strasznej klęski, c-
ilkadziesiąt tysięcy ludu zniszczyła.

Pobiegł podziemną przejeżdżając ulicą wiodącą od Ostrych Wrót ku zamkowi.

— Co za klęska! jakie zmiany! — zawołał jeden z podróżnych. — Trudno poznać to niedawno tak żywe, piękne i wesołe miasto.

Młody chłopak jadący z czterema innymi z przerażeniem odwrócił oczy.

— Ale czy nie ma już teraz niebezpieczeństwa zarazy? — zapytał.

— Nie, nie ma — odpowiedział mu jeden z towarzyszy — lud wymarł, a on to z głodem ją przyniósł. Teraz, da Bóg, powróci tu znów zdrowie i życie. Macie w tem dowód, kiedy pan wojewoda do Wilna się udał. Nie jechałby on bez potrzeby w ogień.

— Zapewne — dodał drugi — kiedy o nim posłyszą i inni powrócą.

Tak rozmawiając stanęli u wrót zamkowych, w których blade, nie młody już mężczyzna nieśmiało ku nim postąpił.

— A skąd to Pan Bóg prowadzi?

— Z Krakowa!

— Ho! A zdrowi tam?

— Zdrowi dzięki Bogu! A tu w Wilnie?

— Straszna klęska minęła wreszcie! — odpowiedział strażnik. — Ale co oczy moje widziały, tego żaden język nie wypowie.

— Widzieliśmy ślady tego po ulicach — odrzekł jeden z podróżnych.

— A! to już tylko ostatki — odrzekł, wzdychając strażnik.

— Czemżeście żyli?

— Trochę sucharów, odrobiną wody, którą po kilka dni znieść nie było można, bo gdy się wyszło na miasto, Indzie jak mary zgłodniałe rozszarpały człowieka. Głód i choroba zamieniały lud w dzikie zwierzęta, bez pamięci na Boga, na siebie.

na śmierć! Nie było rozumu, nie było przyjaźni, był głód tylko. Jeden anioł w czarnej sukni, za tysiące szatanów.

— Co za anioł? — spytał chłopiec.

— Ksiądz nowo sprowadzonego zakonu Jezuitów, Łukasz Kraszowski, chodził z chlebem, z wodą i ciałem Bożem, od gromady do gromady. A często chwymano go, szarpano, wywracano i bito. Często o suchy bochenek chleba walczyły całe seciny ludzi, rozbijając się i goniąc z wrzaskiem po ulicach. Z wierzchu mojej bramy spoglądałem na to drżąc cały, a teraz gdy się wszystko dzięki Bogu skończyło, jeszcze we śnie słyszę te wrzaski pospółstwa, widzę te łuny pożarów.

Podróżni chcieli jechać dalej, ale ich strażnik zatrzymał.

A król Jegomość? — zapytał.

— Był w Tykocinie, a teraz jest w Knyszynie.

— Zdrow?

— Jak zawsze.

— Niech go Bóg chowa. Dokąd jedziecie?

— Do wojewody, który już podobno powrócił do swego pałacu.

— Już?... zaprawdę odważny.

Podróżni pojechali ku Wilii na przedmieście Antokolem zwane. Okolica była i tu spustoszona jak po wojnie.

W drzewach za kościołem ujrzeli nast podróżni murowany dwór wojewody, Fryderyka Sapiehy. Ale nim do niego dojechali, stanęli obok kościółka i starszy rzekł do chłopięcia:

— Wiecie dla czegośmy was wywiedli z Krakowa i wierzycie nareszcie, że p. Czuryłło i my z nim wspólnie działający nie jesteśmy wysłańcami wroga waszego, ale obrońcami waszymi.

— Tak wierzę wam i dziękuję — odpowiedział

chłopie, Stas — to nie — ale powiedziecie mi proszę, dla czego matka moja o tem nie wie, czemu to nie z jej wolą? czemu mi nawet pisać do niej nie dacie?

— Bo matka Wasza, Mości Książę, lękając się o Was, gotowa była wyprzeć się wszystkiego dla Waszego ocalenia. Lepiej, żeby opłakawszy chwilę, mogła się potem cieszyć bezpieczeństwem Waszem. Dla niej to zarówno jak dla nas uczyniono. Widzicie, że w takim razie tajemnica jest konieczną, tajemnica nawet na dworze Sapielhy.

— Ależ sam wojewoda?

— Sam wojewoda o wszystkim wiedzieć winien — odparł starszy — to konieczne, ale nikt więcej. Będziecie nosili imię obce, nieznane, więc tu książę Sołomerecki wyszukać Was nie zdoła i gdyby nawet znalazł, silna Was okryje opieka.

— Lecz czy zechce?

— Mam ważne listy błagalne do niego. Tymczasem posłane prośby do Rzymu będą czas miały wrócić uskutecznione; a Wy nauczcie się tu rzemiosła rycerskiego przy znakomitym mężu, który szablą i piórem służył krajowi.

— Jedźmy już — odezwali się towarzysze.

— Pamiętajcie — dodał starszy — tajemnicę dla wszystkich, bo gdybyście się zdradzili, nie znaleźlibyście tu nikogo do waszój obrony.

W skromnym dworze, w komnacie, bardzo po prostu przybranój, siedzieli na ławie dębowej dwaj bracia, kasztelan Paweł i Fryderyk wojewoda, Sapielowie. Obaj starey prawie, ale zdrowi jeszcze i silni, obaj wzrostu słusznego, twarzy rumianej, z zarosłemi brodami i wąsami. Oblicze ich było poważne, sirowe, męskie, takie właśnie, jakie widzimy na starych obrazach.

Paweł był starszy, siwy i nieco zgarbiony. Fryderyk rzeźwiejszy i żywszy.

— Jakież udy — zapytał Paweł wojewody.

— Złe, zawsze złe — odrzekł, wstając i przechadzając się z niecierpliwością wojewoda. — Ci sami otaczają króla co otaczali, taż sama obojętność i bezczynność. Eh! do stu kaduków! zniewieściał nam, zbabiał ze wszystkim. A szkoda, szkoda, bo serce złote. Włosi go zepsuli.

Kasztelan westchnął.

— I nie jego jednego — rzekł — ale pono wielu, ale bodaj nie na długo i nie wszystkich, o! straszny oni jad puścili w obyczaje! Ktoby to poznał dziś stary lud polski litewski, co się dawniej wstydził robić pokryjomu tego, z czem dziś chępi się w oczach świata. Abominacya! Ale kiedy zaraza morowa ustała, król by tu wrócić powinien.

— W Tykocinie mór go dognał, wyjechał do Knyszyna. Bóg wie...

— I z nim jego poplecznicy?

— O tak Mniszechowie i ich gromada. A piszą mi, że panowie senatorowie i inni przystępu do króla nie mają, że skarby wielkie ulubieńcy jego wywożą.

— Senatorowie zezwolićby na to nie powinni....

— Jego to własność.

— Ale użytek z tych bogactw rękoma poddanych naznoszonych, niegodny

Obaj westchnęli i zadumali się.

Wtem wszedł starszy dworzanin wojewody, i oznajmił o przyjeździe nieznajomych jakichś ludzi, którzyby się sam na sam z panem wojewodą widzieć chcieli.

— Tu ich wezwać — rzekł Sapięha — nie mam tajemnic dla pana brata.

— Ale oni mieć je mogą — odparł kasztelan, wstając.

Wojewoda go nie pisał.

Stanisław Sołomerecki ze starszym towarzyszem podróży weszli do izby, skłonili się nisko i starszy podał listy swoje wojewodzie.

Wojewoda spojrzał bystro na chłopca, potem przystąpił do okna i zaczął czytać. Głębokie pawało milczenie. Odczytawszy list wojewoda, podał go bratu i zwróciwszy się do Sołomereckiego, rzekł łagodnie:

— Pozdrawiam Was i otwartem sercem przyjmę do domu mego. Ale zapewne po Firlejowskim dworze nie zasmakujecie Wam litewska dziez, jak ją tam zowią w Polsce.

— Bardzo krótko byłem u pana wojewody — odpowiedział Stanisław — a dawne moje życie...

— Wiemy to już po części — przerwał wojewoda — spróbowaliście biedy. To nigdy człowiekowi nie szkodzi. Twardnieje w niej jak rozpalone żelazo w wodzie.

— Ja się też nie skarzę — odparł Staś z cicha — dla matki tylko to mnie boli.

— Pobożne dzieci Bóg błogosławi — rzekł Sapieha, a potem dodał: — Jakież nazwisko nosić będziesz? bo widzę, że własnego nie możesz.

— Będąc żakiem w Krakowie, zwałem się Maciej Skowronek.

— To nazwiemy cię tu Skowronski — rzekł wojewoda.

I potem kazał przywołać starszego marszałka Grydę i polecił jego opiecz i straż nowoprzybyłego chłopca. Towarzysze, którzy przywieźli Stanisława, opatrzywszy go w pieniądze i poleciwszy od siebie marszałkowi, odjechali tego dnia jeszcze.

Znowu więc Staś sam jeden pozostał wśród obcych sobie ludzi.

Dwór Sapiehy wojennego ducha i zatrudnień,

składał się z dworzan, do rycerskiego sposobiących się rzemiosła. Co na dworze pana Firleja niejako zabawką tylko było, to tu uważano za cel życia. Nie znano tu gry w kości, śpiewów i rozlicznych zabaw rozpowszechnionych po dworach wielkich panów polskich, a sprowadzanych do kraju przez rozmaitych cudzoziemców, a głównie Włochów. Nie pieszczono i miękczącego nie było w obyczajach ówczesnych dworów litewskich.

Nie będziemy opisywali szczegółowo kilkomiesięcznego pobytu Stanisława na dworze wojewody Sapięhy. Wiele on na nim zyskał pod niejednym względem. Nabył tu zbywających mu najbardziej rycerskich obyczajów, a chociaż umiał nie wiele. Sapięha uważał za rzecz niepotrzebną, aby się uczył więcej, bo mawiał zwykle:

— Nauka jak sól dobra, kiedy jej nie zawiele.

Powróćmy teraz do Krakowa. Pocziwy pan Czuryłło, odzyskawszy syna, pospieszył przedstawić go księżnie i pani. Przedewszystkiem powiedzieć nam tu wypada, że starzec nie wiedział wcale o dawniej znajomości księżny z jego synem na zamczku braclawskim; Anna, nie pytając nigdy o nazwisko Bogdana, nie wiedziała także, kim on był właściwie.

Było południe

Księżna tylko co powróciła z kościoła, gdy jej oznajmiono przybycie pana Czuryłły. Pomimo podejrzenia, jakie miała na niego z powodu przestrogi żebraka, księżna nie mogła przypuszczać, aby stary wierny sługa mógł ją zdradzać.

Przyjęła go więc prawie tak uprzejmie jak zwykle. Starzec z rozpromienioną twarzą przedstawił jej syna, którego jako poległego w boju opłakiwał tak dawno.

Anna podniosła oczy, zatrzymała je na nieznanym długo i zdawała się przypominać coś sobie...

— Biedny -- zawołał Czuryłło — przecierpiał wiele w niewoli tatarskiej, trudno go nawet rozpoznać, tak się zmienił. Z młodego chłopca prawie starzec!

— W niewoli? — powtórzyła smutnie Anna — i długoście w niej zostawali?

— Kilkanaście lat, Mościa Księżno.

Na głos Bogdana znowu nań podniosła oczy, utkwiała uważnie i spytała:

— A jakżeście się z niej wydobyli? Czy wykupieni?

— Uciekłem, Mościa Księżno. O! ciężka to była niewola i ucieczka, lecz cięższy jeszcze powrót do swoich. Nikt mnie tu poznać nie chciał, ojen nawet przypomnieć się musiałem. W domu nawet zaprzeć mnie się chciano.

— W domu? — spytała Anna — gdzieżście wprzód mieszkali?

— Na Podolu.

— Jakim sposobem dostaliście się w niewolę?

— Byłem na wyprawie nad Dniestrem, gdzie inni poginęli, a jam zamiast śmierci ciężką znalazł niewolę.

— Z kim byliście na wyprawie nad Dniestrem? — spytała, hamując się Anna.

— Z księciem panem.

— Z moim mężem? — spytała, rumieniąc się, Anna Sołomerecka.

— Tak jest.

— W której stronie Podola mieszkaliście wprzód?

— Niedaleko Winnicy — rzekł Bogdan.

Anna, zapominając się, ze łzami w oczach, powstała z miejsca i zawołała wzruszona:

— To on! to on!

Naówczas uszczęśliwiony tym dowodem niespoziwanej pamięci Bogdan rzucił się przed nią na kolana, ale tży głos mu stłumiły, Anna upadła. płacząc, na krzesło.

Stary Czuryłło w nieczmiernem podziwieniu nie wiedział, co począc.

— Tak, to ja jestem — rzekł wreszcie Nadbożanin — dzięki Wam Mościa Księżno, żeście mnie poznać raczyli. Ta chwila nagradza mi wszystkie nęki niewoli tatarskiej.

— Byćże to może? — przerwała Anna — to nie sen? to wy? I mogliście mnie poznać?

— Poznałem Waszą Książęcą Mość od razu. wówczas gdym błagał o jałmużnę u drzwi Sołomereckiego, Wyście mnie nie poznali. I nie dziwnego, bo te lata, co mnie przybiły, zgmiotły, dla Was płynęły cicho, spokojnie.

— O! wy nie wiecie! Te lata i dla mnie ciężkimi, strasznymi były. Moje dziecko, wy wiecie, los mego dziecięcia! Wydarte, porwane znowu!

I płakać rzewnie poczęła.

Stary Czuryłło przechadzał się niespokojnie po komnacie, usiłując daremnie hamować gwałtowne wzruszenie.

— Nadzieja w Bogu! — dodał cicho.

— I w Waszych przyjaciolach — dodał Bogdan z zapalem. — Znajdziemy go, powrócimy Waszją Książęcą Mość.

— Niech Wam Bóg za tę chęć dobrą płaci — rzekła Anna. — Wy nie wiecie, jak ja kocham syna mego. Stracić go! jest to stokroć większą niż śmierć dla mnie męką!

Stary Czuryłło kręcił się wzruszony.

— I wolelibyście, Mościa Księżno — rzekł z cicha — aby tu był i został może pochwyconym?

— Wszakże i tak go pochwycono — rzekła z poziwieniem księżna.

— Tak! tak, ale kto wie.

— Co chcecie powiedzieć?

— Hm! Ja tego nie wiem... ale jednak miarkuję. Książę Sołomerecki, podobno gniewny, niespokojny, wyjechał z Krakowa, odgrażając się z furią. Więc Książę Stanisław sędzę, nie jest w jego ręku...

— Ale gdzież być może?...

— Nie wiem, może go kto z przyjaciół ukrył, uchował...

— Gdyby kto z przyjaciół, czyżbym ja o tem wiedzieć nie mogła?

— Nic nie wiem, ale tak się domyślam — mówił starzec — że nie powiedziano Waszój Księżcej Mości, dla tego, aby się przypadkiem nie wydała.

— Ja moje dziecko własne wydaćbym miała!...

— Mimowolnie — rzekł starzec pomieszany. — Bądź Wasza Księżca Mość spokojna.

— Jakże chcecie, abym o niego spokojną być mogła?...

— Na mnie się spuście. Jakem szlachcie i wierny sługa Waszój Księżcej Mości, ręczę, że młodemu księciu nie w tej chwili nie zagraża. Bądźcie spokojni...

— Więc wy wiecie coś o nim! — zawołała księżna

— Ojcie! — zawołał syn — jeżeli co wiecie?

— Na Boga, matce! matce powiedzcie! — zawołała księżna, składając ręce.

— Ale ja nic nie wiem.

— Na Boga was zaklinam.

— No, no cicho tylko, mógłby kto posłyszec — szepnął stary. — Wiem, ale nie powiem, nie powiem

— Kto go porwał?...

— Ja — rzekł Czuryłło — ja!...

— Dla czego?...

— Abyś Wasza Księżca Mość, straszona przez stryjecznego brata, nie mogła, nie mając w ręku dzie-

cka, wyrzec się dla oracenia mił^{ego} życia, nazwiska ojca i całej przyszłości, do czego była już gotową.

Księżna osłupiała.

— O pocziwy stary przyjacielu! — zawołała ty! powtórz mi! tyś go uwiózł?

— I nie chciałem o tem nic Wasz^{ej} Książęc^{ej} Mości mówić, aby się to przypadkiem nie rozniosło. Ale bądźcie o syna spokojni. Jest on w bezpiecznem miejscu...

Gdy to mówił pan Czuryłło, na ulicy zaturkotał pojazd i wnet dał się słyszeć u drzwi znany głos księcia Krzysztoła, który z gniewem sługi rozpychając, biegał do komnaty.

To on! — zawołała z przestachem księżna — mówiliście, że wyjechał?

— Sam widziałem jak jechał, powrócił chyba...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem i Sołomerecki wpadł do komnaty.

— Pani siostro! — zawołał w progu — przyszedłem Wam oznajmić...

Anna zbłądła śmiertelnie.

Młodszy Czuryłło z zaiskrzonymi oczyma stanął jakby gotów do walki, patrząc gniewnie na wroga sw^{ego} uwi^{el}bian^{ego}.

— Oznajm^{ię} Wam, że wiem wszystko.

Stary Czuryłło zadrżał.

— Co wiecie — słabym głosem spytała Anna.

— Syn wasz jest na Litwie. Wczoraj dowiedziałem się o tem od jednego z tych, co go tam wywieźli! Jutro rozsy^łę, a jutro sam jadę za nim!...

— Zdradzono mnie! — mruknął z cicha pan Czuryłło.

— Czy wiecie moje arunki, chcąc, aby syn Wasz został przy życiu? — zawołał groźnie książę.

Księżna milczała, młodszy Czuryłło odpowiedział za nią:

— Pozwól mi, Wasza Książęca Mość powiedzieć, że są warunki, nad których przyjęcie śmierć lepsza.

— Do Was nie mówię? — krzyknął Sołomerecki.

— Ale ja mówię do Was! — zawołał płomieniejąc szlachcie.

— Kto jesteście? — spytał porywczó książę.

— Kto? szlachcie równy Wam kniaziu.

— Może ulubieniec Jejmości — zawołał szyderczo książę.

— O! to niegodnie drwić sobie z bezbronnój kobiety! — zawołała z rozpaczą Anna.

— Bezbronnój nie — rzekł Czuryłło. — Nie zasłużyłem na nazwę ulubieńca, bom tu prawie nieznany, ale pragnę być obrońcą Waszój Książęcój Mości...

— Przeciw mnie! — zaśmiał się dumnie Sołomerecki — chyba przeciw sługom moim.

I zmierzył go wzrokiem tak pogardliwym, że Bogdan kładąc rękę na szabli postąpił ku niemu.

Ojciec powstrzymał syna i rzekł zwracając się do księcia.

— Wasza Książęca Mość chcesz więc koniecznie czyjejś krwi?

— Was wszystkich, gdyby można! — krzyknął Sołomerecki — godnych współników mojej pani siostry. Tak krwi, chłosty do krwi! chłosty do krwi!

I silnie trzaskając drzwiami wyszedł, rzuciwszy na księżnę groźne spojrzenie.

Bogdan chciał się rzucić za nią, ale księżna go powstrzymała...

— Lecz zkąd on dowiedział się o tem? — rzekł niespokojnie starzec. — Wszystko ułożone było tak ostrożnie, tak tajemnic...

— Ludzie przez Was najęci wydać musieli...

— Tak, ale potrafimy poradzić i na to. Przeniesiemy go gdzieindziej aż papiery nadejdą z Rzymu, przez nuncyaturę zażądane.

— A i to nie nie pomoże — zawołała księżna — czyż nie widzicie, że nie go nie przekona, że przekonany nawet... tajemnie pozbyć się syna mego postara?...

— Jego się pozbyć trzeba — zawołał z zapalem Bogdan — inaczej to się skończyć nie może!

— Co myślicie? — zapytała księżna. — Wybyście chcieli?...

— Nic prostszego. Zabić go...

— Wy?...

— Szczęśliwym będę, jeśli mi się to uda.

— Ale wy, wy zginiecie sami!... On silny, on otoczony, ostrożny.

— Zginać chcę chętnie. Na cóż się teraz życie moje przyda! Zobaczyłem, kogom chciał widzieć... Nie mam się czego spodziewać i na cóż się szczeni. Lecz chodźmy ojcze — dodał zwracając się do starca. — Nam trzeba śledzić wszystkie kroki księcia. Nie mamy chwili do stracenia.

I porzuciwszy Annę poruszoną zjawieniem dawno oplakanego człowieka, wieścią wydobytą od starego Czurylla i groźbami księcia, ojciec i syn udali się na miasto, rozważając jak dalej poczynać sobie mieli.

XII.

Po długiej naradzie z ojcem młodszy Czuryllo wybiera się sam w drogę do Litwy.

— Potrzeba uprzedzić księcia — rzekł — jest nas kilku, wszystko gotowe, zanim książę przybędzie na dwór Sapielhy, już tam Stanisława nie zastanie....

To mówiąc sposobił się w drogę, stary mu pomagał.

Z tłumoczek wypadł zwitek papierów zabrudzonych długim noszeniem, związanych czerwonym sznurkiem z jedwabiu.

- Co to jest? — zapytał stary.
- A! to jeszcze pamiątka mojej niewoli...
- Jaka?...

Wiosną na galarze tureckiej pod Stambułem, miałem za sąsiada i towarzysza biednego księdza przez zbójów zabranego. Ten umierając oddał mi papiery jakieś, poleciwszy mi, aby jeźli powrócę do ojczyzny, oddał je komu należy. Ksiądz był podobno długim pobytom u nas spolszczony; wracał z Rzymu, gdy go rozbójnicy morscy schwytali.

- Przejrzałeś te papiery? — zapytał go stary.
- W niewoli będąc ukrywałem je; wróciwszy nadto byłem sobą zajęty, więc zaponmiałem o tem. Zobaczycie wy ojcie, co one zawierają; ja spieszę w drogę.

Starzec usiadł, rozwiązał sznurki, rzucił okiem na papier i nagle wykrzyknął:

- Jezus Marya! Co za zrządzenie Boże!
- Co to jest?
- To papiery księdza Hausera! Papiery Solomereckich! Ksiądz powracający z Rzymu, to on był!
- Kto taki?...
- Ksiądz wysłany przez stryja Amę, dla zlegalizowania małżeństwa księżny.
- Wygrana! wszystko skończone! tryumfujmy!
- wołał stary chwytając czapkę i łaskę. — Chodźmy do księżny!

I zdyszany Czuryłło, nie mogąc pohamować swęj radości wybiegl z domu. Księżna Anna tylko co powróciła z kościoła, gdy stary Czuryłło wpadł zdyszany do jej komnaty.

— Przynoszę wielkie i ważne, a najniżej spodziewane nowiny! — zawołał.

- Na Boga, cóż to takiego? — zapytała księżna.
- Papiery Hausera...

Znalazły się? — zawołała księżna podbiegając

— Najosobliwszym trafem, mój syn...

— Odzyskał je, jakim sposobem?

Czuryłło opowiedział w krótkości, to co dopiero usłyszał był od syna.

Księżna Anna płakała z radości.

— O! co za Opatrzność Bozka nad nami! Ale cóż począć teraz? — rzekła po chwili namysłu.

— Radziłbym Waszój Książęcej Mości — rzekł Czuryłło — udać się z tymi papierami do wojewody Firlēja, pozwać księcia Krzysztofa przed sąd arbitrów, aby przy świadkach zmuszony był niezbitymi dowodami, uznać za prawe małżeństwo wasze i dziecko z niego zrodzone. Spieszcie tylko, aby nie wyjechał.

Natychmiast księżna kazała zaprządz do kolasy i pojechała.

Wojewoda Firlěj przyjął ją nader uprzejmie.

— Cóż sprowadza miłą mi zawsze obecność Waszój Książęcej Mości? — zapytał.

— Szczęśliwy traf i prośba — odpowiedziała Anna.

— Bardzom rad, jeżeli Wam w czem usłużyć potrafię, mam bowiem na sumieniu zawiedzione Waszój Książęcej Mości, nadzieje, względem chłopea, którego opieki się podjąłem.

— O, nie mi się złego nie stało! Moi to przyjaciele wywieźli go potajemnie z Krakowa, bez mojej wiedzy, obawiając się napaści księcia Krzysztofa.

— Doprawdy! I gdzież się to dziecię znajduje?

— Na dworze Fryderyka Sapiehy.

Firlěj zagryzł usta trochę nierad, ale prędko wracając do poprzedniej uprzejmości zapytał:

— W czemże, Waszój Książęcej Mości, użytecznym być mogę?

— Cała moja nadzieja we Was!... Papiery, o które starałam się przez nuncyaturę, już są w waszych rękach...

— Jako — Więc — je skuteczniej odemnie wyjednał?...

— Nie; oryginalne papiery księdza Hansera znalazły się dziwnym trafem. Towarzysz niewoli jego w Threyi, wyzwolony przywiózł je. Błagam Was, wezwijcie do siebie księcia i arbitrów, niech ludzie widzą, niech sądzą; niech się tam wszystko wstyd mój wreszcie raz już skończy!

Wojewoda przejrzawszy ciekawie papiery, rzekł wstając:

— Będzie jak sobie życzycie. Jutro zawezwę do siebie wszystkich znajdujących się w Krakowie panów braci senatorów i znakomitszą szlachtę; zawezwę księcia Krzysztofa, aby zmuszony był w obliczu ich uznać bratanka. Bądźcie spokojni. Cieszę się z duszy i serca pomyślnością Waszą.

— Ale książe jest na wyjeździe, goni do Litwy za biednym synem moim, nie wiem czy go wstrzymać zdołacie.

— Sądzę, że zdołam — rzekł dumnie Firléj. Wyślę natychmiast do niego jednego z moich dworzan z wezwaniem na jutro, na ważną naradę.

— Jakże mam wyrazić wdzięczność moją?

— O, to ja powinienem dziękować, żeście mnie na tę pocziwą usługę wybrali. Bądźcie spokojni, rozpiszę wnet listy.

*

*

Nazajutrz około południa, zgromadziło się mnóstwo panów, a nawet kilku biskupów w pałacu Firléja. Nawet panowie Zborowscy, otwarci nieprzyjaciela jego, nie odmówili przybycia swego, sądząc, że ważne publiczne sprawy traktować się miały.

W wielkiej sali pałacowej, ozdobnej w najbogatsze sprzęty, zgromadzeni panowie rozmawiali cicho, poważnie, jak na tak wielkich dostojników przy stało.

gdy nagle drzwi z otwartą kurtyną wszedł książę Krzysztof Sołomerecki z dumną postawą, wejrzeniem wzgardliwym, głową podniesioną, wargą zaciętą.

Po pierwszych kilku słowach powitania wojewoda Firléj zaprosił kilku najznakomitszych panów do stołu, na którym rozłożył papiery i tak przemówił:

— Nie dla żadnej sprawy publicznej pozwoliłem tu sobie wezwać panów i miłych braci. Ale są sprawy prywatne, które czasem do ważności publicznych się zbliżają, obchodzą wszystkich lub obchodzić powinny. Niezgody familijne, prześladowania wzajemne osób krwią blisko połączonych, są to kłębki, którym zapobiegać trzeba... Właśnie jedna to z podobnych okoliczności zmusiła mnie prosić wszystkich tu przytomnych na sędziów i pośredników... sprawa to nie moja, ale opieczć mojej oddana, wywiązuję się z opieki nad sierotą.

Powstało ogromne zdziwienie, a Firléj pokazując papiery tak mówił dalej:

— Rodzina zacna książąt Sołomereckich...

Książę pobladł... oczy mu się zaiskrzyły

— Rodzina zacna książąt Sołomereckich, znajduje się właśnie w smutnem położeniu, z którego pragnąc wyjść wdowa i sierota wzywają sądu i sprawiedliwości naszych...

— Nie sądzę, aby kto miał prawo mieszać się do tego, co między mną a siostrą moją stryjeczną zachodzi — przerwał książę. — Nie uznaję żadnego sądu. W tej sprawie sam jeden jako głowa rodu stanowią. Mniemanego małżeństwa siostry mojej stryjecznej nie uznaję, bo dowodów nie ma i być ich nie może. Dziecię jest nieprawne. Ratując zacne imię, chciałem oddać podrzutka, na którego spada najlepsza część majątności naszych.

— Lecz gdyby małżeństwo to udowodniono — rzekł Firléj.

— To być nie może...

— Tak jest! — zawołał wojewoda. — Oto dowody z Rzymu przywiezione. Niech arbitrowie sądzą i powiedzą, czy najmniejsza pozostaje wątpliwość, gdyż w razie wątpliwości, ja sam podzieliłbym szlachetne oburzenie Wasze przeciwko matce i dziecięciu.

To powiedziawszy Firléj podał papiery biskupom Uchańskiemu i Karnkowskiemu, którzy rozpatrzywszy je z uwagą, podali innym po kolei.

— Niechże i ja widzę te dowody! — krzyknął książę Krzysztof. — Zkąd one? Chyba podrobione! to być nie może! ja ich nie uznaję...

— Uznacie, gdy je przejrzyście — rzekł podając mu je Łaski.

Wszystkich oczy zwróciły się na księcia, który z widoczną złością porwawszy papiery, gniótł je w rękę, oglądał, czytał, a nareszcie na stół rzucił.

— Tak — rzekł z gniewem — dowody są, to dziecko jest synem mego brata. Być może! uznaję...

— A zatem — rzekł Firléj — należałoby się Waszćj Książęcćj Mości pojednać z siostrą tak długo prześladowaną i pokrzywdzoną.

— Ja z nią — zawołał gniewnie książę — nigdy!

— A cóż to przeciw niej macie? — zapytało kilku.

— Pani bratowa chciała uczynić moje upokorzenie publicznem i tego jej nie daruję! — zawołał z goryczą książę.

I zmiąwszy czapkę posunął się ku drzwiom drżąc z gniewu.

Wojewoda powstrzymał go.

— Mości książę — rzekł — pozwólcie się pojednać, zapomnijcie o przeszłości.

— Nigdy! nigdy! księżna i syn doznają jeszcze méj zemsty! — zawołał.

Ten nieugięty upór napróżno starali się przela-

...prędko...
...uw. gani...
...w...
...Rzucił się do drzwi gwałtownie, dopadł swych
...oni w podwórzu i popędził do domu zgrzytając
...hami.

XIII.

Gdy wchodził na próg swego domu książę, mężczyzna okryty płaszczem po oczy, zastąpił mu drogę w progu, tak że wejść nie mógł.

— Precz ztąd! — zawołał popychając go gwałtownie. Solomerecki.

— Nie przejdiesz. Mości Książę, póki nie pomówisz ze mną.

— Kto jesteś?

— Młodszy Czuryłło — odpowiedział z przyciskiem mężczyzna.

— Sługa księżny. Czego chcesz? na życie moje czyhasz tutaj?

— Nie jestem sługą nieczym. Jestem szlachcic i Wam równy.

— Mnie równy! — zakrzyczał książę i silnie w policzek uderzył Czuryłłę.

W téj chwili Czuryłło z pochwy mignął szablą i uderzył na księcia. Bój rozpoczął się krwawy. Szable obcinały i szczerbiły się, suknie porabane padały w kawałki, krew tryskała, a oni bić się nie przestawali. Czuryłło w pierwszej zaraz chwili ranny, bił się zajadle, a usiłując skonczyć coprędzej, ostatka sił dobywał, ciał raz po razie księcia, który w szybkości uderzeń nie mogąc się zastonić, pochylił się nareszcie i na wznak upadł.

Czuryłło przeciął mu głowę, ale prawie w téj samej chwili, pochylił się, oparł o ścianę i zawołał słabym głosem:

— Ratujcie!...

Nadbiegli dworzanie księcia, widząc swego pana leżącego i krwią zbroczonego, napadli z szablami na omdlałego zabójcę i byliby go rozsiekali, gdyby w tej chwili nie był się zjawił stary Czuryłło, a z nim dwóch znajomych szlachciców.

Starzec dowiedziawszy się o wyjściu syna, nie-spokojny, przeczuwając krwawy jego zamiar, pospieszył za nim do domu księcia.

Okropny widok zabitego Solomereckiego i omdlałego z ran syna oblał go, rzucił się na oślep, siekąc kogo napotkał. Ledwie go pohamowano i wyprowadzono z domu, a za nim na płaszczy jednego z przyjaciół Czuryłły, wyniesiono omdlałego obrońcę księżny.

Dworzanie księcia podnieśli pana i położyli w pierwszej izbie na łożu. Przywołano żyda felerera i ten oświadczył, że książę Solomerecki nie żyje.

— Po co ja tu! On zabity! — rzekł obojętnie.

Tymczasem orszak żałobny ciągnął zwolna przez ulicę, syn na płaszczy niesiony, ojciec idący za nim bezprzytomny, załamujący ręce i jęczący rozpaczliwie. Tak złożono omdlałego w pobliskim domu lekarza, który zajął się troskliwie opatrywaniem ran jego. Stary ojciec płakał, chwytając ręce i pytał bez ustanku:

— Będzie żył? Czy przeżyje?

— Rany nie są niebezpieczne — odparł lekarz — ale liczne cięcia, utrata krwi jest wielka. Spokojności mu trzeba przedewszystkiem.

Tymczasem księżna dowiedziawszy się o tym strasznym wypadku, posłała natychmiast do mieszkania księcia Krzysztofa, dworzanie jej zamówili duchownych i obmyślano wszystko co do przyzwoitego pogrzebu potrzebnem było.

Urząd zaś zaczął poszukiwać zabójcy. Trzeba było uwieść co najprędzej Bogdana Czuryłłę, lecz to było niepodobnem z powodu ciężkich ran jego.

I oóż zbliżyliśmy się do końca naszej powieści; pozostało nam tylko powiedzieć słów kilka o losie osób, któreśmy w ciągu jej przedstawili.

Za staraniem księżny i z pomocą Firleja, świadkowie zeznali, że Czuryłło w uczciwej walce, a nie w zasadzce, sam śmiertelnie ranny zabił Sołomereckiego. Wyleczony z ran, wywieziony został na Ruś przez ojca, który się także na zawsze z Krakowa oddalił, a odkupiwszy od owego grubego szlachcica swoją slobodę nad Bohem, umarł w niej wkrótce. Bogdan po śmierci ojca puścił się w świat daleki i odtąd nie już o nim w kraju nie słyszano.

Księżę Stanisław połączony z matką, pamiętny opieki Sapienhów, z wdzięcznością dwór ich porzucił, udając się na Ruś do swoich.

Kroniki ówczesne wprawdzie o dalszem życiu jego nie wspominają, lecz przypuszczać należy, że przebywszy tak trudną szkołę życia, stał się zacnym obywatelem, użytecznym członkiem społeczeństwa polskiego.

Księżna Anna, w kilka lat po opisanych wypadkach, oblekła suknię zakonną. Nikt nie mógł pojąć powodu tego poświęcenia, lecz szeptano sobie, że ofiarowała rękę swoją obrońcy i przyjacielowi młodości, Bogdanowi Czuryłle, a ten ją z szlachetną bezinteresownością odrzucił. Czy to prawda? nie wiemy.

Wyżej opisane zajścia działy się właśnie wten czas, kiedy Zygmunt August dogorywał w Knyszynie. Tam też Bogu ducha oddał, będąc już tak schorzałym, że tylko pozostały na nim skóra i kości.

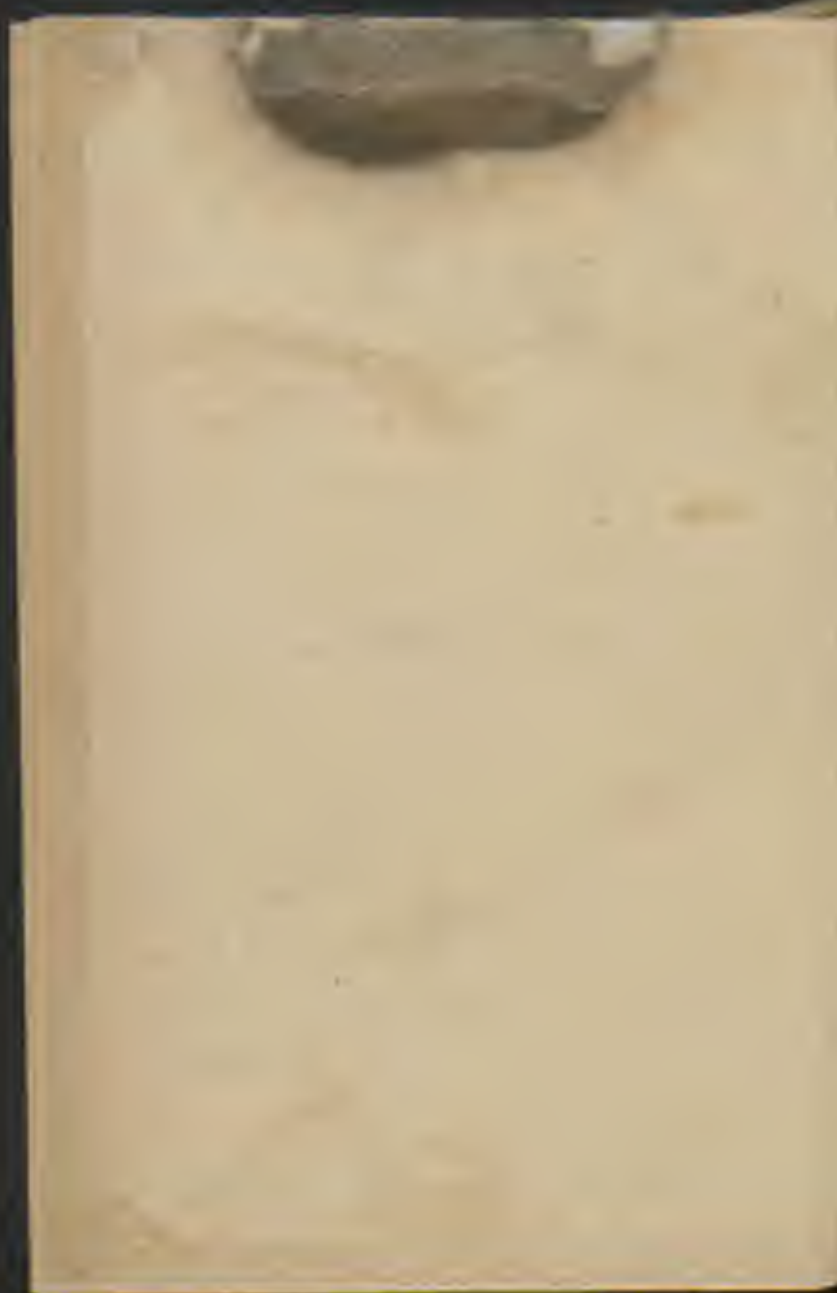
Zwyczajem było, iż królów polskich chowano w Krakowie; sprowadzono więc do stolicy zmarłego Zygmunta Augusta i tam odbył się wspaniały obrzęd

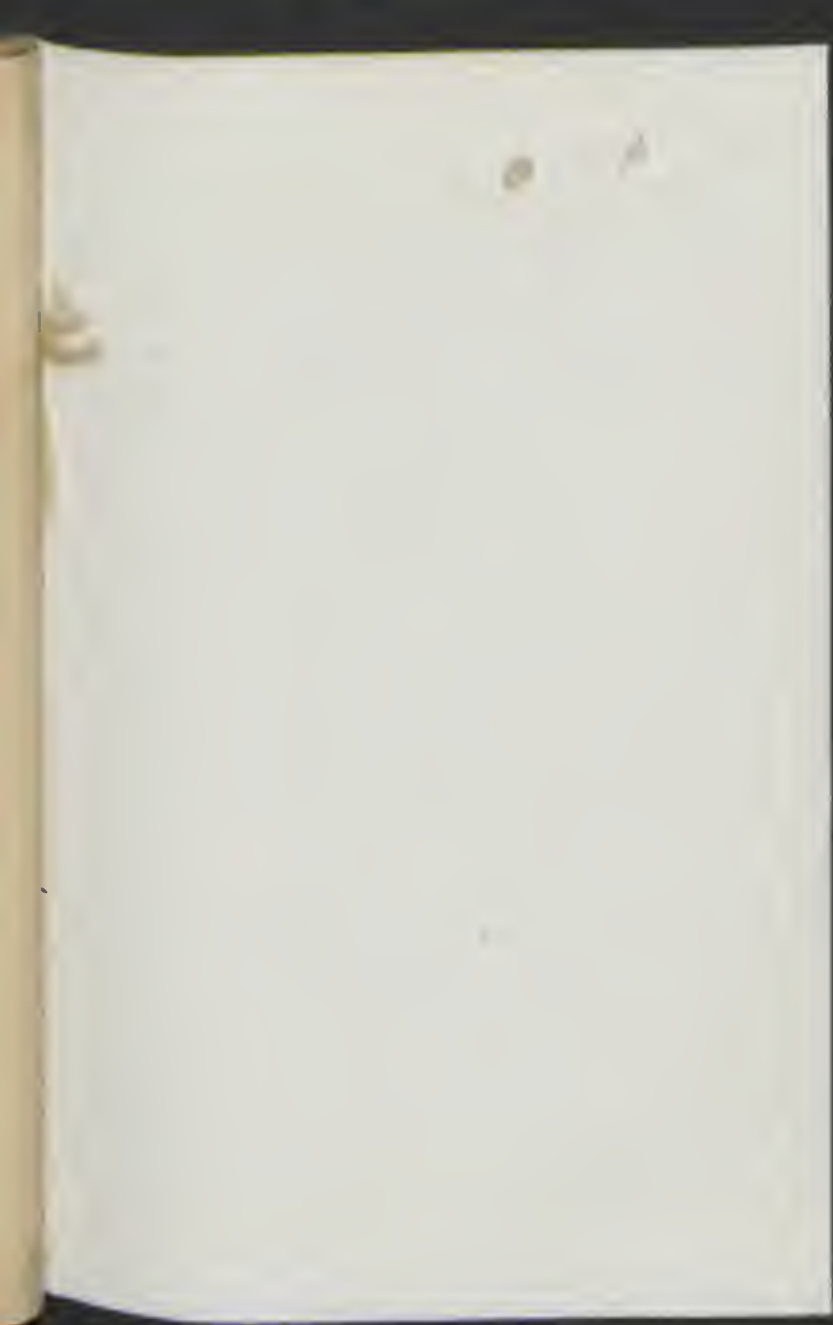
pogrzebowy ... mów. ... żyny kro-
lewskiej nie było więcej nikogo, tylko jego siostra
Anna. W kościele, gdzie stała trumna, podług ów-
czesnego zwyczaju, gdy umarł człek z rodu, wpadł
zbrojny rycerz na koniu i skraszył kopią, po nim
urzędnicy koronni łamali swoje łaski i pieczęcie na
znak żałoby.



165/8/35

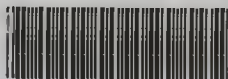
500





Biblioteka Raczyńskich

JK2254



JK2254